

Kłopoty z kryzysem

Minęły cztery lata od zawarcia Porozumienia Kościoła i Państwa z dnia 14 kwietnia 1950 roku. Idea dwustronnego regulowania stosunków między Episkopatem i Rządem okazała się w tym czasie jedyną koncepcją gwarantującą Kościołowi katolickiemu perspektywę rozwoju w państwie socjalistycznym, będąc jednocześnie korzystną dla Państwa Ludowego, białającego wielką przyszłość Polsce i potrzebującą w tym celu jednolitej moralno-politycznej nacji. Jednostka realizuje się w Polsce w ramach Frontu Narodowego całego społeczeństwa, niezależnie od różnic światopoglądowych. Linia dwustronnego Porozumienia Kościoła i Państwa stała się czynnikiem wzmagającym moralno-polityczną zwiartłość Frontu Narodowego.

Minione cztery lata nie pozbawiły jednak trudności w realizacji właściwej linii Porozumienia. Trudności te były w większej mierze wynikiem zrywania wolnej przemiany świadomości społeczno-politycznej części duchowieństwa, niż różnic światopoglądowych między katolikami i marksistami. Strona katolicka nie zawsze bowiem dostatecznie głęboko rozumiała konieczność takiej realizacji Porozumienia, która by odpowiadała potrzebom każdorazowego etapu rozwoju ludowego porządku w Polsce. Ważna jest bowiem funkcja społeczna Porozumienia Kościoła i Państwa.

Ważne jest to, w jakiej mierze linia dwustronnego Porozumienia będzie znajdowała swój oddźwięk w społeczeństwie, szczególnie wśród katolików. Ważne jest, by Porozumienie było dla nich drogowskazem moralnym i ideowo-politycznym, by kształtowało ich postawę patriotyczną i postępowanie wobec Ludowego Państwa. Jeśli te warunki zostaną spełnione, Porozumienie będzie miało zapewnioną trwałość.

Od czego zaś w pierwszym rzędzie zależy dalsza korzystność dla Kościoła i Państwa kontynuacja linii dwustronnego Porozumienia? Kontynuacja tej linii zależy w pierwszym rzędzie od przyspieszenia powszechnej przemiany świadomości społeczno-politycznej duchowieństwa i świeckich katolików. Główną siłą przemieniającą świadomość katolików jest ruch społecznie postępowy, którego przejaw organizacyjny stanowi Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Chodzi o to, by w ruchu tym znalazła się zdecydowana większość katolickiego duchowieństwa. Chodzi o to, aby ta przemiana świadomości społeczno-politycznej duchowieństwa znalazła jak najszerszy odbicie w jego praktycznej postawie i w działalności na terenie instytucji katolickich, w kuriach i seminariach duchownych, na zebraniach dekanalnych i w ogóle w całej pracy duszpasterskiej. Atmosfera ideowo-polityczna, a przede wszystkim aktywność obywatelska we Frontie Narodowym, m. in. w ogólnonarodowej walce o podniesienie roli państwa powinny świadczyć dowodnie o przemianie świadomości społecznej duchowieństwa. W ten sposób będzie się tworzyła platforma ideowo-polityczna kontynuacji Porozumienia.

Ostatnio, od ślubowania Episkopatu na wierność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jesteśmy świadkami dalszego rozwoju i normalizacji stosunków Kościół — Państwo. Chodzi o to, by stan ten pogłębić i utwierdzić.

Tak ważna dla kontynuacji linii Porozumienia przemiana świadomości społeczno-politycznej duchowieństwa i katolików świeckich musi się także wyrazić w przeciawianiu się katolicyzmu w Polsce próbom nadużywania aury Kościoła na Zachodzie dla celów wojennych, wymierzonych m. in. w całość naszych ziem. Pewne koła polityczne katolików na Zachodzie zaangażowane w politykę antypolską muszą spotkać się ze zdecydowaną odpową społeczeństwa katolickiego w Polsce. Również katolicyzm w Polsce ani na chwilę nie może ustąpić w zabiegach o ostateczne uregulowanie stałej administracji Kościelnej na Ziemiach Zachodnich.

Takie są wymagania polskiej racji stanu, a jednocześnie potrzeby Kościoła Katolickiego w Polsce. Spełnienie ich da gwarancję, że linia Porozumienia będzie kontynuowana i że tworzyć się będzie wielka perspektywa współdziałania ludzi o różnych światopoglądach w zwycięskim świecie sprawiedliwości społecznej.

Sprawa droga milionom...

OSTATNIA, ogólnopolska konferencja obrońców pokoju, która odbyła się w dniu 7 b.m. w Warszawie, zwróciła się z serdecznym apelem do całego społeczeństwa polskiego, aby wszystkie siły poświęciło sprawie pokoju. „Jest nas miliony Polaków gorąco milujących swój kraj, jednością wzmocnionym naszymi siłami — czytamy w rezolucji, uchwalonej na konferencji. — Pomagajmy sobie wzajemnie, działajmy wspólnie dla wspólnego celu, bądźmy czujni wobec wroga naszej ludowej ojczyzny. Niech robotnik czuje bratnią dłoń chłopca, a chłop bratnią dłoń robotnika. Niech nasi nauczyciele i inżynierowie, agronomowie i architekci, artyści i uczeni wnoszą swój pełny wkład do walki naszego narodu o bezpieczeństwo i dobrobyt, o utrwalenie pokoju na całym świecie”.

Konferencja, w której udział wzięli wybitni przedstawiciele nauki, świata kulturalnego i artystycznego, działacze katolicy, robotnicy i chłopcy oraz przedstawiciele wielu organizacji masowych, została zwołana w czasie rozgrywania się istotnych wypadków politycznych w ważnym okresie między konferencją berlińską a zbliżającą się konferencją geneńską.

Okres ten charakteryzuje pewne odwrócenie w stosunkach międzynarodowych. Najpoważniejszym wydarzeniem politycznym była konferencja w Berlinie. Jakkolwiek nie przyniosła ona takich rezultatów, jakich oczekiwali ludzie milujący pokój i widzący w wysuwanej przez Związek Radziecki propozycji rozmów i rokowań jedynie słuszną drogę, umożliwiającą odwrócenie w stosunkach międzynarodowych, to jednak już sam fakt doświadczenia konferencji do skutku, jak też zapowiedź kontynuowania dalszych rozmów, czego zresztą dowodem jest zbliżająca się konferencja geneńska, świadczą o sukcesie idei pokoju nad ideą wojny. W wielu krajach dają się również zauważyć coraz silniejsze tendencje do nawiązania stosunków między tzw. Wschodem a Zachodem, stosunków zarówno dyplomatycznych, kulturalnych, jak i gospodarczych. Wzrost wymiany handlowej między krajami jest również dalszym krokiem w odwróceniu sytuacji międzynarodowej. Coraz liczniejsze międzynarodowe kontakty sprzyjają wymianie poglądów, wzajemnemu poznawaniu osiągnięć swoich krajów i przekazywaniu doświadczeń naukowych i kulturalnych, które mogą być następnie wykorzystane dla wspólnego dobra narodów.

W Polsce bawiła niedawno grupa deputowanych francuskich z b. premierem Daladierem na czele, która miała możliwość zapoznać się z rozwojem gospodarczym i kulturalnym naszego kraju.

Obecnie gościimy drugą, liczyniejszą jeszcze grupę francuskich par-

1. HOROSKOPY COLINA CLARKA

ZNANY ekonomista burżuazyjny, Colin Clark, w szeregu opublikowanych ostatnio artykułach naskiwiował smutne horoskopy dla gospodarki kapitalistycznej, zajmując się szczególnie ekonomiką Stanów Zjednoczonych, Colin Clark zwrócił uwagę na rysujące się trudności tej ekonomiki, trudności, które jego zdaniem, są „równie niepokojące i w równej doniosłości, jak te, które daly się zauważyć w roku 1929”.

Zanim zajmiemy się bliżej „kłopotami” pana Colina Clarka, trzeba najpierw podkreślić nie tylko trafność jego oceny sytuacji gospodarczej, ale również jej ostrość. Ktośkolwiek bowiem z ekonomistów burżuazyjnych pamięta rok 1929, poprzedzający słynny światowy kryzys, zdaje sobie sprawę z analogii lat i sytuacji.

Na czym opiera Colin Clark swe przesłanki, upoważniające go do rysowania podobnych horoskopów gospodarczych? Otóż Colin Clark twierdzi, że w gospodarce Stanów Zjednoczonych następuje „cykliczna redukcja zapasów, pociągająca za sobą zmniejszenia popytu na rynku amerykańskim”. Wysokość kurczenia się popytu wynosi około 5 proc. rocznie i dotyczy zarówno produkcji, jak też handlu hurtowego i detalicznego. Ogólne kurczenie się popytu towarowej Stanów Zjednoczonych odbija się bezpośrednio na zmniejszających się obrotach towarowych, na ilości transakcji, na zapasach, które — zdaniem Clarka — „każdy będzie zmniejszał, bowiem zmniejszy się jego zbył, zbyt zmniejszy się, ponieważ ktoś inny zmniejszył swoje zapasy dlatego, że jego własny zbył uległ spadkowi itd.” Ten trochę zawzięty sposób motywacji, właściwy zresztą ekonomistom burżuazyjnym, nie jest pozbawiony słuszności. Ukazuje bowiem współzależność poszczególnych procesów gospodarczych państw kapitalistycznych, współzależność, polegającą przede wszystkim na powiązaniach kapitałowych wielkich koncernów.

2. KTO MA RACJĘ?

HOROSKOPY gospodarcze Colina Clarka zostały zaatakowane przez innych ekonomistów burżuazyjnych, którzy wytknęli mu pominięcie w ocenie sytuacji gospodarczej Stanów Zjednoczonych tak ważnego czynnika koniunkturalnego 1929 roku, jak istniejącej wówczas spekulacji bankowej, podsyconej przez udzielanie nadmiernych, bardzo często niekontrolowanych kredytów. Pierre Mendès — przewodniczący komisji skarbowej Francuskiego Zgromadzenia Narodowego — zajmując się bardzo żywo problemami, poruszonymi przez Clarka, usiłuje „obalić” jego „insynuacje”. Po prostu Mendès w artykule polemizującym z Clarkiem zamieszczonym w paryskim „Le Monde” stwierdza, że: „... istnieją dziś czynniki umożliwiające przewidzenie kryzysu i sposobów zapobiegawczych. Złote są czynniki zapowiadające zbliżenie się kryzysu, jego groźbę i środki zapobiegawcze względnie umożliwiające z nim walkę. Złagodne kryzysy względnie przewidywane go jest w dużej mierze uzależnione od woli i decyzji.” Czyjże woli? Czyjże decyzji? — pyta niecierpliwie czytelnik, któremu te słowne zapewnienia Mendès nie bardzo wystarczają. Mendès daje na to odpowiedź w dalszej części swego artykułu: „Społeczeństwo amerykańskie nie będzie tolerowało depresji podobnej do tamtej z 1929, nie czeka na smutne skutki kryzysu, żąda zapobieżenia mu”.

Społeczeństwo amerykańskie — to już nam coś mówi. Rozumiemy dobrze, że „ocalenie” kapitalistycznego świata przed „groźbą kryzysu, leży w ręku „społeczeństwa amerykańskiego”. Co natomiast uważa pan Mendès za „społeczeństwo amerykańskie” podaje dość precyzyjnie następujący akapit, w którym czytamy: „Zgodnie z prawodawstwem Stanów Zjednoczonych prezydent jest obowiązany stosować się do koniunktury (podr. moje) i tak postępować, aby dobrobyt i pełne zatrudnienie były zapewnione”. A więc w Mendès „społeczeństwo amerykańskie” równa się „woli prezydenta”.

Podobnie wyrażał również „demokratyczne” poglądy Ludwik XVI twierdząc: „L'etat c'est moi”.

Poprzedzając na razie na tych wyjaśnieniach Mendès, sięgniemy do innych materiałów. Otóż w jednym z lutowych numerów „The Economist”, w dziale amerykańskim tego pisma znajduje się omówienie rocznego sprawozdania ekonomicznego Rady Doradców Ekonomicznych prezydenta Eisenhowera. Rada jest ciałem dość enigmatycznym. Powołana w roku 1946 za rządów Trumana miała pomagać i służyć prezydentowi radą w ważnych wydzierżaniach gospodarczych. Do roku 1953 prawie nie była potrzebna. Mówiło nawet, że zostanie skasowana. Dlatego też jej restytucja może nastąpić pewnie podejrzaniem, że „złe się dzieje w państwie duńskim”. Doradcy stali się potrzebni. Oddajmy im zresztą głos, a raczej pismo „The Economist”, które tak relacjonuje ich sprawozdanie: „Sprawozdanie (Doradców — przyp. mój — Z. Cz.) podkreśla również, że na giełdzie nie daje się zauważyć tendencji, jak w roku 1929 do zwielokrotnienia efektów kurczenia się interesów. Jest jednak ogromny wzrost sum nieuregulowanego kredytu ratalnego. Wynosił on ponad 3 miliardy dolarów w czasie krachu w roku 1929, spadł do 1,5 miliarda

dolarów z końcem roku 1932 i wzrastał szybko od roku 1945, za wyjątkiem pierwszego roku wojny koreańskiej. Wzrost ten w ciągu dwunastu miesięcy między czerwcem 1952 a czerwcem 1953 o rekordową sumę 4,6 miliardów dolarów — z 16 do 20,6 miliardów — i mimo spadku zatrudnienia od tego czasu wzrósł jeszcze o 1,2 miliarda. Bez względu nawet na dalszy wzrost bezrobocia (podkr. moje Z. Cz.) potencjalne niebezpieczeństwo tak poważnego obciążenia na przyszłość stało się bardzo istotne”.

A więc chyba ma rację Colin Clark, gdyż więcej można mieć zaufania do pesymistycznego, ale podbudowanego liczbowo sprawozdania Burnsa, Jacoby'ego i Stewarta — doradców Eisenhowera, niż do frazesów pana Mendès. W sprawozdaniu tym rok 1929 pojawia się często i stanowi niewzruszoną aluzję do obecnego stanu gospodarki amerykańskiej.

3. CO OZNACZA PRZYPOMNIENIE ROKU 1929?

NA pytanie to można by odpowiedzieć krótko: rok 1929 przyniósł długotrwały, gdyż trwający przeszło 4½ roku kryzys gospodarki kapitalistycznej, powodujący ruinę milionów drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, bankructwo setek tysięcy drobnych i średnich zakładów rzemieślniczych i przemysłowych, miliony bezrobotnych, głód.

Ocena ta, niewątpliwie słuszna, nie jest pełna, porusza bowiem tylko tragiczne skutki kryzysu, które dotknęły przede wszystkim masy ludzkie. Warto jednak zastanowić się nad dalszymi konsekwencjami kryzysu w stosunku do takich spraw, jak — polityka międzynarodowa, pakt handlowy, zobowiązania handlowe państw burżuazyjnych.

Kryzys 1929 roku wybuchł początkowo w Stanach Zjednoczonych, lecz w ciągu najbliższego już czasu przeniósł się na kontynent i ogarnął największe państwa kapitalistyczne Anglię, Francję, Niemcy a następnie rozszerzył się na cały świat. Po roku 1929, będącym również rokiem kryzysowym, trwał na rynku międzynarodowym aż do roku 1929 dość poważne ożywienie, dał się zaobserwować silny wzrost produkcji, wzrost cen, a równocześnie wzrost kursów papierów wartościowych. Jednak, obok tych cech „rozkwitu” gospodarki kapitalistycznej zaczęły się rysować i oznaki nadprodukcji, początkowo w formie spadku aktywności gospodarczej, wynikającej z przesycenia rynku towarami, później — w roku 1929 zaczęły przybierać coraz ostrzejszą formę. W końcu października 1929 r. nastąpił krach giełdy nowojorskiej. Po kilku dniach paniki giełdowej kursy papierów wartościowych spadły o około 60 proc. Dalsze konsekwencje nowojorskiego krachu są wiadome. Wystarczy tylko przypomnieć, że spadek produkcji

kańskim, bezpośrednio sprawcy i transferowi skutków kryzysu amerykańskiego na teren kontynentu. Z takich pobudek rodziła się nagła chęć do autarchii, do budowy „własnego” przemysłu, wywołania różnymi, sztucznymi metodami — ożywienia inwestycyjnego itd. — a więc do oderwania się od wpływu jednych kapitalistów po to, aby wpaść w ręce... drugich. Kryzys 1929 i jego skutki nasuwają ciekawą, a niemniej pouczającą obserwację — rysującą się osłabienia związków polityczno-gospodarczych państw kapitalistycznych i większe jeszcze skłócenia z sobą niż przed kryzysem interesów kapitałowych i wpływów politycznych. Była to bowiem walka koncernów o topniejące resztki „kryzysowego” stołu.

4. POLITYKA WOJNY

REMINISCENCJE kryzysu 1929 roku nie są przyjemne dla finansjery kapitalistycznej, a zwłaszcza amerykańskiej. Nie są przyjemne przede wszystkim dlatego, że skutki jakiegokolwiek tylko kryzysu gospodarczego, bez względu nawet na siłę jego działania, rozluźniłyby sztucznie, opierające się przede wszystkim na „dolarze” więzy polityczno-ekonomiczne państw, ogarniętych depresją gospodarczą. Rozdział świata na dwa rynki — kapitalistyczny i socjalistyczny — ukazuje równocześnie światu zagrożonemu kryzysem, wyniki gospodarki socjalistycznej, jej początkowe dźwignięcie się z gruzów, następnie imponujący wzrost odbudowy i rozbudowy. Szczególnie instruktynne muszą być dla mas ludowych, żyjących w orbicie świata kapitalistycznego ostatnie zarządzania rządów ludowych w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej, zmierzające do podniesienia stopy życiowej ludności. Dalsze obniżki cen (ostatnio w Związku Radzieckim i w Czechosłowacji) świadczą o szybkiej realizacji tych wytycznych. Fakty te są żywo komentowane przez klasę robotniczą państw kapitalistycznych. Rysowanie równocześnie przed tą klasą horoskopów kryzysu wywołuje nie tylko wśród robotników, ale w całym pracującym społeczeństwie akt protestu, powoduje falę strajków, wzmagając się za gospodarką pokojową, za współpracą gospodarczą, za jak najlepszą wymianą towarową, będącą najlepszym rzeczniczkim gospodarki pokojowej.

Dlatego wśród ekonomistów burżuazyjnych rodzi się obawa przed „insynuacjami” Colina Clarka i podobnych do niego innych ekonomistów, którzy nie wahają się odkrywać tępą prawdą.

Jak wobec tego przeciwstawić się kryzysowi? Prezydent Eisenhower w swym noworocznym (1954) orędziu oświadczył, że „arsenał środków znajdujących się w dyspozycji rządu dla utrzymania stabilizacji ekonomicznej krachu są wiadome. Wystarczy tylko przypomnieć, że spadek produkcji

— rozbudowywać zdrową gospodarkę, co strukturę, opartą na stałej amerykańskiej pomocy militarnej. Niektóre z nadzwyczajnych wydatków amerykańskich mają być obciążone za dwa lub trzy lata i Zachodnia Europa może pewnego dnia stanąć w obliczu nowego niebezpiecznego kryzysu”.

W ciągu ostatnich sześciu lat (1947—1953) wydatki Stanów Zjednoczonych na cele wojenne wzrosły blisko sześciokrotnie z 12,6 miliardów dol. w r. 1947-48 (rok budżetowy) do 58,2 mld. dol. w r. 1952-53. Do wzrostu tego w dużym stopniu przyczyniła się wojna na Korei, w wyniku której zyski monopoli amerykańskich, pracujących na rzecz zbrojeń, skończyły się 100 proc., a nawet i o 200 proc. w górę.

Rozejm w Korei, stanowiący poważne osiągnięcie polityki pokojowej Związku Radzieckiego, Chin Ludowych i krajów demokracji ludowej, jest ostrzeżeniem dla gospodarki imperialistycznej — ostrzeżeniem świadczącym o tym, że polityka zbrojeń i konfliktów nie jest popularna wśród narodów, zwłaszcza tych, które poniosły straty podczas ostatniej wojny światowej. Narody te zdecydowanie oponują przeciw wszelkim próbom tworzenia nowych teatrów wojny, przeciw monotonianiu armii europejskiej o wyrażenie agresywnej tendencji, opuszczając przeciw prowadzeniu „brudnej wojny” w Wietnamie. Jakkolwiek burżuazyjne rządy tych narodów ulegają presji Pentagonu i prowokują ratyfikację prowokacyjnych paktów, to jednak przejście od faktu ratyfikacji do faktu realizacji paktu nie jest sprawą mimo na wet, presji amerykańskiej, łatwą.

5. W STRONĘ KEYNESIZMU?

ISTNIEJĄ jeszcze inne sposoby — opanowania sytuacji kryzysowej — tak twierdzą ci ekonomiści burżuazyjni, którzy usiłowali jeszcze za życia prezydenta Roosevelta przenieść na grunt amerykański teorię angielskiego ekonomisty Keynesa. W jakim stopniu „new deal” Roosevelta zrealizował tę teorię, trudno jest odpowiedzieć w krótkim, publicystycznym szkicu — w każdym razie demokracji amerykańskiej chępli się stworzonym przez siebie programem dotąd, dopóki nie przegrali wyborów i nie ustąpił władzy republikanom. Okazuje się jednak, że i republikański, a właściwie — monopolistyczny — prezydent, Eisenhower zaczyna ulegać podstępom swych doradców, aby nawet za cenę zrezygnowania z usłużonej równowagi budżetowej spróbować jeszcze raz wcielić na gruncie amerykańskich zasady Keynesa.

W czym się to ma wyrazić? Posłuchajmy, co o tym pisze francuski „Le Monde” z dnia 30 stycznia br.: „... dowiadujemy się, że zamierzone przez przemysł wydatki na fabryki i urządzenia wynoszą w tym roku 20 miliardów dolarów; wielkie towarzystwa stalowe przewidują 775 miliardów dolarów na ekspansję (podkr. moje Z. Cz.) i modernizację instalacji, a General Motors ogłasza, że ich dwuletni program ekspansji obejmie ponad miliard dolarów”. Informacja ta nie byłaby pełna, gdybyśmy nie uzupełnili jej małym fragmentem raportu Komisji Randall, dotyczącej ekonomicznej polityki Stanów Zjednoczonych.

Otóż w tej części raportu, która omawia problem inwestycji poza granicami St. Zjednoczonych, czytamy o podjęciu przez rząd amerykański kroków, mających na celu jeszcze silniejszą i bardziej intensywną akcję inwestowania kapitałów prywatnych poza granicami kraju. W tym celu proponuje Komisja wprowadzić szereg poprawek do amerykańskich ustaw skarbowych, zrewidować ustawę anty-trustową itd. itd.

„New deal” Eisenhowera polega więc na silniejszej jeszcze koncentracji kapitału, wzmoczonej jego ekspansji poza granicami Stanów i na dalszym uzależnieniu od siebie innych państw w formie kredytów, pożyczek, koncesji i zbrojeń. To wszystko ma się dziać za amerykańskie dolary i w imię amerykańskiego (czytaj — monopolistycznego) strachu przed... kryzysem.

JESZCZE RAZ PAN MENDÈS

PO raz ostatni wróćmy do pana Mendès, ale po to tylko, aby zacytować jego dość frajrupnie brzmiące zdania. Otóż Pierre Mendès pisze: „Nawet lekki kryzys amerykański może w krótkim czasie wywołać bardzo poważny kryzys światowy. (Naturalnie, że „świat” pana Mendès kończy się nad Labą i pojęcie „światowy” należy tylko i w ten sposób rozumieć — przyp. mój Z. Cz.). Jeżeli istnieje ryzyko cofnięcia się amerykańskiego życia gospodarczego, to wiemy z doświadczenia, że znajdzie ono 7 wiele silniejsze odbicie w Europie. Dlatego też od dziś powinniśmy zająć się znalezieniem środków łagodzących ewentualne reperkusje”.

Na tym kończy się jego sformułowania, które podobne są do głosu wolaającego na puszczy. Podobne są są dlatego, że nie silą się na nic więcej, choćby na odrobnie inwencji ekonomicznej, na jakiś ślad próby rozwiązania sytuacji. Podobnie też i Colin Clark i inni ekonomiści burżuazyjni, odkrywając trudności i kłopoty ekonomiki świata kapitalistycznego rezygnują z prób sanacji. Może zdają sobie sprawę z bezowocności swych wysiłków, a może że są bezsilni?.. Kto wie? Najtrudniej jest walczyć z własnymi kłopotami, a jeszcze trudniej przyznawać się do porażki.



Wykres przedstawia podział dochodów St. Zjednoczonych z inwestycji zagranicznych w r. 1950 (w mln. dolarów)

przemysłowej, stanowiący zresztą światowy jeden z przejawów kryzysu światowego, wymiósł w ciągu następnych 3 lat w St. Zjednoczonych 46 proc., w Niemczech 41 proc., we Francji 33 proc., w Anglii 24 proc., w Polsce 46 proc. wielkości produkcji globalnej itd. Handel międzynarodowy stępiał w różnych państwach od 60 proc. do 77 proc., bezrobocie natomiast wzrosło do ogromnych rozmiarów: w St. Zjednoczonych do 13 milionów, w Anglii do 3 milionów. Ogółem na świecie notowano wówczas około 26 milionów bezrobotnych. Kryzysowi towarzyszyła wielka ilość bankructw i to nie tylko poszczególnych kapitalistów, banków, koncernów, ale również i bankructwo państw kapitalistycznych. Powojenne reparacje, długi, pożyczki — wszystko to zostało zawieszona, odroczone, anulowane. Następująca później dewaluacja wadł we wszystkich prawie państwach kapitalistycznych pogłębiła jeszcze stan nieufności i wzajemnej rezerwy państw kapitalistycznych. Szczególną niechęć okazywały poszczególne państwa kapitałowi amerykańskiemu, stanowiący zresztą

przemysłowej, stanowiący zresztą światowy jeden z przejawów kryzysu światowego, wymiósł w ciągu następnych 3 lat w St. Zjednoczonych 46 proc., w Niemczech 41 proc., we Francji 33 proc., w Anglii 24 proc., w Polsce 46 proc. wielkości produkcji globalnej itd. Handel międzynarodowy stępiał w różnych państwach od 60 proc. do 77 proc., bezrobocie natomiast wzrosło do ogromnych rozmiarów: w St. Zjednoczonych do 13 milionów, w Anglii do 3 milionów. Ogółem na świecie notowano wówczas około 26 milionów bezrobotnych. Kryzysowi towarzyszyła wielka ilość bankructw i to nie tylko poszczególnych kapitalistów, banków, koncernów, ale również i bankructwo państw kapitalistycznych. Powojenne reparacje, długi, pożyczki — wszystko to zostało zawieszona, odroczone, anulowane. Następująca później dewaluacja wadł we wszystkich prawie państwach kapitalistycznych pogłębiła jeszcze stan nieufności i wzajemnej rezerwy państw kapitalistycznych. Szczególną niechęć okazywały poszczególne państwa kapitałowi amerykańskiemu, stanowiący zresztą

POCZĄTEK CZASOWY WSZECHŚWIATA A ISTNIENIE BOGA

Już św. Tomasz z Akwinu twierdził w *Sym. c. Gent.*, I, b. I, cap. XII, *quod via efficacissima ad probandum Deum esse, est ex suppositione novitatis mundi*. Podobnie wyraził się myśliciel średnio-wieczny o argumentacji za istnieniem Boga z początku czasowego wszechświata w *Commentaria in octo libros Physicorum Aristotelis*, I, lib. VIII, cap. I, lect. I.

W artykule W sprawie początku czasowego wszechświata, ogłoszonym w numerze 33 (439) Tygodnika Powszechnego z ub. r., starałem się wykazać, jak, biorąc pod uwagę niemożliwość urzeczywistnienia się mnogości aktualnie nieskończonej w obrębie zdarzeń tworzących dzieje wszechświata, można dowiedzieć, że wszechświat miał początek w swym trwaniu czasowym. Zakładając znajomość tej argumentacji chciałbym tylko zaznaczyć, że powyższe rozumowanie można uprościć pytając się, czy szereg zdarzeń sukcesywnych mógłby być tak przedłużony a parte ante, żeby nie miał żadnego zdarzenia pierwszego? Na to pytanie musimy odpowiedzieć przecząco, bo przy żadnym zdarzeniu przedłużającym a parte ante serię wymienionych zdarzeń nie moglibyśmy się zatrzymać twierdząc, że już dokonaliśmy się to, o co nam chodzi, skoro mamy na uwadze serię zdarzeń sukcesywnych bez żadnej granicy a parte ante. A jeżeli tak, to w takim razie nie gdy nie mogliby znaleźć realizacji seria zdarzeń sukcesywnych bez zdarzenia pierwszego.

Uważając ten wniosek za udowodniony, chciałem w niniejszym artykule wykazać, że jeżeli cały wszechświat ma początek w swym trwaniu czasowym, to zaistnienie wszechświata stanie się dla nas zrozumiałe tylko wówczas, gdy założymy działanie stwórcze istoty tak potężnej, którą tylko z Bogiem można utożsaczyć.

1. Bertrand Russell przyjmuje możliwość spontanicznego powstania wszechświata bez interwencji Boga Stwórcy. „Nie ma żadnego powodu — pisze angielski myśliciel — dlaczego świat nie miałby powstać spontanicznie, chyba jedynie dlatego, że musiałby być zgola chaotyczny, a takim nie jest; również nie znamy żadnego takiego prawa przyrody, według którego chaotyczne rozmieszczanie przedmiotów nie mogłoby się zdarzyć. Przypisywać Wszechświat Stwórcy, jest to uciekać się do praw przyrodniczych, które nauka uznaje tylko o tyle, o ile one wynikają z obserwacji. Stworzenie czegoś z niczego jest pewnym zjawiskiem dotychczas nie obserwowanym i dlatego nie ma żadnej lepszej racji do przypuszczenia, że świat został stworzony przez Stwórcę, jak i do przypuszczenia, że nie został stworzony. Oba przypuszczenia są sprzeczne z prawami przyrodniczymi, które możemy obserwować”¹⁾.

Wydaje się jednak, że Russell niewiele znajdzie zwolenników dla swego poglądu o możliwości spontanicznego powstania wszechświata bez akcji stwórczej ze strony Boga. Normalną drogą do ateizmu znajduje człowiek współczesny przez założenie odwrotnego istnienia wszechświata. Wprawdzie z tego odwrotnego istnienia wszechświata daje się pogodzić jakieś pojęcie Boga — dowodem tego jest choćby system filozoficzny Arystotelesa, według którego Bóg jest pierwszym motorem nieporuszonym istniejącego odwrotnie wszechświata, o ile jest jego ostatecznym celem — ale widocznie człowiek współczesny czuje niezależnie od trudności koncepcji Stagiryty, że jeżeli by miał uznać istnienie Boga, to mógłby uznać tylko istnienie Boga w Jego ma-

prowadzi pierwiastkowo intuicja, którą św. Tomasz z Akwinu wyraził w *Sum. theol.*, I, qu. II, a 3, w słowach: to, co nie jest z czyną istnieć tylko przez to, co jest (quod non est, non incipit esse nisi per aliquid quod est).

Chodzi tu o tezę, która jest bezpośrednio oczywista. Wartości tej oczywistości, będącej niewątpliwie oczywistością tzw. przedmiotową, nie można by podważać sceptyczną uwagą, że mielibyśmy w sobie pewien moment subiektywny, bo jest oczywistością dla naszego o rozumie ludzkiego, i stąd przy błędnej organizacji rzeczowego rozumu treść tej oczywistości mogłaby być błędna. Samo to, że jest to oczywistość dla naszego rozumu ludzkiego

z rzeczą samą, jako że rzecz sama dana jest nam tylko właśnie przez nasze wrażenia zmysłowe lub umysłowe²⁾. Chcąc w sytuacji podobnej, zakładanej przez ks. Sawickiego, wyjść z wątpliwości, które mogłyby nam nasuwać się bez końca, musielibyśmy razem z tym myślicielem uciec się do czynnika irracjonalnego, do uzasadnionego w dużej mierze racjonalnie zaufania naszej woli w słuszność przedmiotowych oczywistości naszego rozumu³⁾. Nie nas jednak nie zmusza do pójsia drogą wskazaną przez ks. Sawickiego, bo nie jest prawdą, żebyśmy w naszym poznaniu nie osiągnęli wprost żadnej rzeczywistości transcendentnej. Mamy przecież nie dającą się zaprzeczyć świadomość tego, że w naszym poznaniu możemy zetknąć się bezpośrednio z czymś, co jest od nas niezależne, co jest nam tylko

nie można by dowiedzieć wprost jej prawdziwości ze względu na to, że ona obejmuje takie pojęcia pierw- szej, jak pojęcia istnienia i nieistnienia. Można by natomiast argumentować nie wprost powołując się na to, że przecież w warunkach całkowitego niebytu nie mogłoby w żaden sposób pojawić się realne istnienie aktualne czegoś, gdyż to istnienie stanowiłoby pełne przeciwieństwo do tego niebytu i jest czymś, czego ten niebyt nie zawiera nawet wirtualnie.

3. Jeżeli to, co nie jest, zaczyna istnieć tylko przez to, co jest, to w takim razie wszechświat mógł zaistnieć jedynie dzięki bytowi różniemu od siebie, którym już był obdarzony realnym istnieniem aktual-

ność, im bardziej (realna) możliwość pojawienia się czegoś jest oddalona od istnienia aktualnego (ob actu), to w wypadku, w którym nie występowałaby żadna [realna] możliwość zaistnienia, potrzeba nieskończonej mocy, by powołać coś do bytu, gdyż między brakiem [realnej] możliwości zaistnienia a jej występowaniem w wypadku działania zwykłych przyczyn nie ma żadnej proporcji, jak jej nie ma między niebytem a bytem.

To rozumowanie św. Tomasza jest całkowicie poprawne. Chcąc ostatnią część argumentacji czynić jeszcze bardziej oczywistą, możemy jej nadać postać, jaką mają wywody ze *Sum. c. Gent.*, I, b. II, cap. XX, które również zmierzają do wykazania, że stwarzanie z niczego domaga się mocy nieskończonej: Tam, gdzie nie ma żadnej [realnej] możliwości zaistnienia czegoś, tam chodzi o wypadek, przy którym wykazujemy poza wszelką określoną odległość zachodzącą między realną możliwością zaistnienia a aktualnym istnieniem. Wobec tego moc czynnika działającego w takich warunkach musi wykraczać poza wszelką określoną odległość między realną możliwością zaistnienia a aktualnym istnieniem. Wobec tego moc czynnika działającego w takich warunkach musi wykraczać poza wszelką określoną odległość między realną możliwością zaistnienia a aktualnym istnieniem. Wobec tego moc czynnika działającego w takich warunkach musi wykraczać poza wszelką określoną odległość między realną możliwością zaistnienia a aktualnym istnieniem.

Chcąc zaakceptować to bardzo intuicyjne rozumowanie musimy pamiętać o tym, by słów o wykraczaniu poza wszelką określoną odległość między realną możliwością zaistnienia a aktualnym istnieniem nie brać w sensie nieskończonej odległości całkowitego niebytu od takiej czy innej aktualnej postaci danego jestestwa, a więc w sensie, jaki najprawdopodobniej uwzględnił sam św. Tomasz. Wszak założenie takiej jednostronnej nieskończonej odległości byłoby założeniem odległości pozytywnej, a tymczasem to nie miałoby sensu, gdyż odległość pozytywna może znaleźć realizację tylko między dwoma członami należącymi do dziedziny rzeczywistości, a więc inter extrema postiva, jak się wyraził Jan Duns Scotus, w omawianym zaś wypadku jeden tylko człon wchodził w sferę rzeczywistości, bo drugi jest jej całkowitym zaprzeczeniem.

Rezygnując z założenia nieskończonej odległości nicości od istnienia aktualnego możemy bez żadnej wątpliwości przyjmować to, co św. Tomasz mówi o braku wszelkiej proporcji z wypadkami, przy których z realnej możliwości kształtuje się aktualna postać jakiegoś bytu, a każdy widzi, że to nam wystarczy do tego, by opowiedzieć się za brakiem wszelkiej proporcji między przyczyną stwarzającą z niczego a czynnikami pracującymi nad nowymi kształtami w oparciu o określoną realną możliwość, czyli aby przypisać owej przyczynie moc nieskończoną. Wprawdzie przy takim ujęciu argumentacji św. Tomasza ze *Sum. c. Gent.* znika paralelizm, który się wyraził w nieskończonej odległości nicości od bytu skończonego i w nieskończonej mocy przyczyny sprawczą stwarzającej z niczego, ale ten paralelizm, zresztą bardzo niedoskonały, nie jest wcale konieczny dla utrzymania głównej myśli argumentacji. Bo żeby można było dojść do wniosku, że przyczyna stwarzająca z niczego jest bez żadnej proporcji z przyczynami działającymi w oparciu o określoną możliwość realną, czyli że jest bytem o nieskończonej mocy spraw-

(Dokończenie na str. 9-iej)

Ks. JAN CZUJ

W CHWALE ZMARTWYCHWSTANIA

...A trzeciego dnia w czas ranny zdrząła ziemia, Anioł odsunął kamień od Grobu, żołnierze padli przyżarci na ziemię — Chrystus wstał z martwych, wyszedł z Grobu ku życiu wiecznemu.

Wczesnym rankiem w dzień Wielkanocy pobożne niewiasty śpieszyły do Grobu Chrystusa, by nałbaścić wonnymi olejkami Jego ciała. Ale na krańcu kamienia ujrzały Anioła, który przemówił do nich: „Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz Go tu, oto miejsce, gdzie Go złożono“ (Mar. rozdz. XVI, 6).

Chrystus swoim Zmartwychwstaniem dokonał wylotu w prawie natury: pokonał śmierć. Święty Paweł patrząc na pusty Grób stawia cześć i stopy tak potężnej, którą tylko z Bogiem można utożsaczyć.

Przez cud Trzeciego Dnia wszy-

scy jesteście przeznaczeni do przyszłego zmartwychwstania i do radości wiecznej. Zmartwychwstanie Chrystusa obdąrzyło nas ziarnem życia wiecznego. „Jesteście bowiem — naucza św. Paweł — umarłymi i życie wasze ukryte jest z Chrystusem w Bogu“ (Kol. 3.3). Złożone w nas ziarno nieśmiertelności już kiełkuje i w chwili zmartwychwstania rozwinię się w duszy naszej we wspaniały kwiat. „Gdy Chrystus, życie nasze, ukaże się, tedy i wy ukażecie się razem z Nim w chwale“ (Kol. 4.3).

Powstanie zmartwychwstanie nam radość i wesele. Zmartwychwstały Chrystus jest obietnicą naszego życia wiecznego. Jest obietnicą, że prawda zmartwychwstania nie jest pustym marzeniem, ale zapewnieniem Bożym. Jest zapewnieniem, że śmierć jest początkiem nowego życia, a życie ziemskie, wstępem do żywota wiecznego.

By zasłużyć na chwałebne zmartwychwstanie, musimy wśród swoich radości codziennych i trosk ciągle powtarzać do nowego życia. „Jeśli tedy — pisze św. Paweł — kto jest w Chrystusie jest nowym stworzeniem: dawne rzeczy prze-

minęły, oto wszystko nowym się stało“. (II Kor. 5, 17). Niech staje się w nas nowe... Niechaj człowiek poznaże jak niewymownie wielka to godność być dzieckiem Wszechmocnego Stwórcy; niechaj pojmie, że ciężar winy wziął na siebie sam Syn Boga; niechaj zrozumie, że grzech jest istotnie najwzrostszym złem, cnota najwzrostszym dobrem.

Nie ma siły, nie ma mocy, która by była zdolna człowieka żyjącego według myśli Boga zmusić do zlego postępków. Droga ludzi wiernych Bogu jest prosta. Nawet w chwilach bólesci jest z nami razem.

W czasie Wielkanocy do wszystkich nas przyszedł zmartwychwstały Zbawiciel z całą miłością i łaską, z całą mocą i świętością. Przyszedł by nas wspierać, wspomagać i karmić Chlebem Anielskim. Pragnie, by zamieszkała w nas radość prawdziwa i by spełniły się słowa św. Pawła: „Jeśliście tedy powstałi razem z Chrystusem, zdążajcie do tego, co jest wzniosłe, gdzie Chrystus zasiadł na prawicy Bożej, miłujcie, co na szczytach jest, a nie co na ziemi“ (Kol. 3, 1, 2).

Drogi „ku szczytom“ wiodą przez nasz świat. Kto ten świat chce o-

krymalistycznym rozumieniu, w rozumieniu chrześcijańskim jako Stwórcy wszechświata. Kto więc dziś twierdzi, że wszechświat istnieje od wieków, ten już nie opowiada się za istnieniem Boga w zminimalizowanym ujęciu takiego na przykład Arystotelesa, ale staje się po stronie ateizmu. Jeżeli zaś ktoś przyjmuje zdanie, ku któremu skłania się nie bez pewnego wahania Russell, że „wszechświat ma... początek w czasie, znajdującym się w nie narzbyt odległej epoce od nas“, to już potem podziela stanowisko teistyczne.

2. Do kreacionistycznej interpretacji faktu zaistnienia wszechświata

go, nie jest jeszcze wystarczającym powodem do otwarcia furtki dla zwątpienia, bo przecież każda oczywistość, każde poznanie jest poznaniem dla kogoś, a być oczywistością, być poznaniem dla kogoś nie znaczy: być niepewnym. Podstawą do wątpliwości mielibyśmy dopiero wtedy, gdyby było prawdą, że w naszym poznaniu nie osiągniemy bezpośrednio żadnej rzeczywistości transcendentnej, lecz że tym, na czym się zatrzymujemy, są treści wrażeniowe i pojęcia. Wtedy moglibyśmy powiedzieć to, co napisał ks. Franciszek Sawicki, że „wprost nie możemy udowodnić, że poznanie nasze odpowiada rzeczywistości, bo nie możemy naszego poglądu porównać

dane, czemu musimy się w naszym poznaniu całkowicie poddać, co posiada własne prawa, co do których nie pozostaje nic innego, jak tylko je uznać. Nie narzuca się więc nam bynajmniej perspektywa wiecznego wątplenia w słuszność „przedmiotowych“ oczywistości naszego rozumu, w naszym wypadku w słuszność „przedmiotowej“ oczywistości z jaką ukazuje się nam teza: „to, co nie jest, zaczyna istnieć tylko przez to, co jest“, ani też nie potrzebujemy dla zdobycia pewności o prawdziwości tej tezy uciekać się za ks. Sawickim do wskazanego przezeń czynnika irracjonalnego.

Temu, dla kogo wymieniona teza nie byłaby bezpośrednio oczywista,

n y m, czyli dzięki pewnej przy-

czynności. Chcąc bliżej określić naturę tej przyczyny, musimy rozważyć, jakiej potrzeba było mocy, by powołać wszechświat z całkowitego niebytu do bytu. Tu możemy wykorzystać niektóre wywody św. Tomasza z Akwinu, przedstawione w *Sum. c. Gent.*, I, b. II, cap. XX, w *De potentia Dei*, qu. III, a. 4, w *Sum. theol.*, I, qu. XLV, a. 5, ad 3, i w *Compendium theologiae*. I. p., cap. LXX.

Oto, jak argumentował doktor pusezyczny w *Summie Teologicznej*: Stworzenie czegoś skończonego jako skończonego nie dowodził mocy nieskończonej, ale stworzenie go z niczego dowodził takiej mocy. Jeżeli bowiem czynnikiem działającym musi mieć tym większą

WACŁAW GLUTH NOWOWIEJSKI

Z DZIEJÓW CHORAŁU

„Pierwotne śpiewy ambrozjańskie i gregoriańskie składają się z melodii i tonacji prawdziwie niebiańskich. Stworzone przez geniuszów w najświetniejszych czasach Kościoła i pielęgnowane przez sztukę, głębiej przenikając dusze, aniżeli wiele naszych nowszych kompozycji, które zostały ułożone jedynie dla wywołania wrażenia...“ Czytając dziś te słowa ojca Thibaut, jak i wypowiedzi innych wielbicieli chorału gregoriańskiego, stajemy przed zagadnieniem piękna, którego nie rozumiemy. Zarliwość słów Thibaut jest zarliwością prawdy. Skłaniamy przed nią głowę, ale przytaknąć jest nam trudno. Wychowankowie epoki — nosimy jej uniform. Kochając Beethovena odwracamy się od Lasso dlatego, że język, jakim przemawia, brzmi obco i nieporadnie. Ten sam Lasso zrobił krok naprzód w rozwoju harmonii i był gwiazdą swojej epoki. Postęp muzyczny zepchnął go już tylko do historii.

Ktoś z następnych pokoleń być może nie uzna muzyki Beethovena. Kanony trybu durowo-mollowego odeśle do muzeum, a spotkawszy się ze strofami uwielbienia dla sztuki na przykład Brahmsa, stanie wobec zagadnienia piękna, którego nie zdola pojąć.

Chylimy głowę przed prawdą bijącą ze słów Thibaut. Wyznawcy kontrapunktu i generalbasu, harmonii i pieciolini, schodzą z nim do katakumb rzymskich na zgrupowanie wiernych. Postyszymy tu pieśń chorałną, przez kapłana lub chór intonowaną, jednostajną, monotonną, granicą jednego lub co najwyżej kilku tonów objętą, bardziej do recytacji niż śpiewu zbliżoną. Jest to właśnie pierwotna muzyka liturgii chrześcijańskiej. Wyniesiona z katakumb do świątyni rozprzestrzeniła się, rozwinęła, bogaci. Niezależnie związana już z liturgią staje się w świadomości wiernych wyrazicielką ich kultu, spontanicznym wyznaniem wiary, potrzebą. Prymityw środków muzycznych, jakim operuje, razić będzie parę wieków później polifoniste, pana Johna Dunstable, tak jak Leonarda da Vinci razić musiały dwunastowieczne Madonny w angielskich katedrach. Ale dla chrześcijan epoki Grzegorza I i rzymskiej „schola cantorum“ psalmy, responsoria i hymny ujęte w Antyfonarzu brzmiały najpiękniej.

Mówiąc o Grzegorzcu Wielkim i jego dziele — Antyfonarzu — dochodzimy do źródła nazwy chorału gregoriańskiego. Ten święty papież oddał muzyce kościelnej nieocenione usługi. Rewidując i uporządkowując kościelne pieśni liturgiczne, oraz wydając je jako tak zwane „Antiphonarius cento“ dokonał pracy o wielkim znaczeniu. O wartości jej może się wypowiedzieć nauka współczesna, dla której Antyfonarz stanowił jedynie źródło do poznania początków muzyki kościelnej, od imienia swego kodyfikatora zwanej śpiewem gregoriańskim.

Jest to pierwszy krok w rozwojowej drodze pierwotnej pieśni kościelnej. Odtąd na formę jej wpływają będą silny nie zawsze z sobą zgodne, stojące nieraz na dwóch przeciwnych biegunach. Są to: teoretyczny

postęp w muzyce, reformy papieskie i muzyka świecka. One to wykreślają dalsze dzieje chorału.

Pierwotne śpiewy gregoriańskie utożsamiać można z rodzajem muzycznej recytacji. Śpiewane były „accentus“, to jest przez kapłana (np. psalmy), lub „cantus“, to jest przez chór (np. hymny) w nutach o różnej wartości kant, by rytym, akcentującą zgłoski mocniejsze, podkreślał ważniejsze ustępy tekstu.

Od wieku X dołączone do melodii wtró w interwale kwarty, kwinty i oktawy, a nieco później wzbogacono ją jeszcze o interwał tercji. Tak to zrodziła się wielogłosowość. Pierwotną monodię zastępuje homofonia i dalej polifonia. Śpiew liturgiczny ulega wszystkim tym przemianom. Przez technikę dyskant, muzykę mensuralną i figuralną, ozdoby, melizmaty i wstawki koloraturowe osiąga formy tak różne od tradycyjnego chorału gregoriańskiego, że aż grzęzące całkowitym jego upadkiem. Zdecydowane wystąpienie papieża Jana XXII i jego dekret z 1324 roku wydany w Avignon, zabraniający używania techniki prowadzenia głosów „ruchem przeciwnym“ (discantus), na czas pewien wzmacnia pozycję chorału.

Ale hula na długo. Już następny wiek przynosi świętym rozwój polifonii, postęp techniczny, rozrost starych form, powstawanie nowych. Szybko zapomniano o zakonach dekretu z Avignon. Dyskant otrzymuje prawa obywatelskie prowadząc kontrapunktowo drugi głos w trzy i czterogłosowych mszach, motetach i fugach niderlandzkich mistrzów. Coraz bardziej zacięra się różnica pomiędzy muzyką kościelną i świecką. John Dunstable (już nam znany) tworzy wokalo-instrumentalną (!) formę zwaną „parafrazą pieśni kościelnej“, a Luca Marenzio i Claude le Jeune przerabiają włoski madrygał i francuska chanson na pieśni nabożne. Zagubiony w tej powodzi dźwięków i sztuczek wyszukanej techniki polifonicznej, imitacji i kanonu „cancians“ chorał gregoriański wrocił przeciw do muzyki kościelnej.

Dzieła tego dokonał największy kompozytor muzycznego średniowiecza i sztandarowy przedstawiciel „szkoły rzymskiej“ — Giovanni Pierluigi da Palestrino (Ludwik z Palestriny ur. około 1526, zm. 2.II. 1594). Twórczość jego obejmuje muzykę wyłącznie wokalną, a capella, ujętą w tonacjach kościelnych i stylu deklamacyjnym, prostą i surową, a na tle efekciarskiej muzyki niderlandzkiej — wprost archaiczną. W jej mistycznie poważnym tonie odzywa się, przerobiony przez ducha czasu — chorał gregoriański.

Mimo wyraźne nowych pierwiastków, muzyka Palestriny urosła do miana reprezentantki prawdziwego stylu kościelnego, a pielęgnowana i propagowana, zyskała godnych naśladowców w osobach: Francesco Durante, „austriackiego Palestrino“ — Fuxa i innych. Nawet Fryderyk Liszt w swych mszach i oratorium sięgnął do wzorów „szkoły rzymskiej“.

Sobór trydencki (1545—1563) uzdrawiając dość swobodne stosunki panujące w ówczesnej muzyce liturgicznej, sztukę Palestrino i współczesnego mu Constance Festo, wniósł na piedestał.

Najbliższa liturgii jest uroczysta, podniosła muzyka wokalna. Tworząc zasadę jej wyłączności Kościół oparł się na chorał rzymskim (gregoriańskim), a potem na jego drugim wcieleniu — muzyce palestrinowskiej,

Ulegając polifonii, uznał tylko jej klasyczną postać opowiadając się przeciwki pierwiastkom świeckim naruszającym powagę liturgii. Kościół sam również rewidował, udrzwiał i identyfikował śpiewy gregoriańskie, nie zawsze niestety, z ich korzyścią. Przykładem tego niech będzie „Medicea“ zbiór zreformowanych śpiewów Graduału („Graduale Romanum“) zawiera pieśń śpiewaną przez chór w czasie mszy). Wydawnictwo to, zlecone do opracowania przez Sobór trydencki, służyło do końca XIX wieku za podręczniki i wzór Ostatnie badania wykazały niebyły: sumienią, szkolidwie upraszającą pracę redaktorów zbioru. Toteż „Medicea“ zastąpiono opracowaną w duchu tradycji chorałowych, a do dziś obowiązującą — Editio Vaticana.

Od Palestyny rozwój muzyki przebiega niesłychanie szybko. Nowe formy, nowe instrumenty, nowy styl. Jest już orkiestra, wielkie poematy muzyczne, opera. Włoska opera — najpiękniejszy kwiat epoki! Twórczość kościelna jakoś wyolbrzymiała, zabyła. Oratoria, kantaty i koncerty religijne, pasje, msze, motety koncertowe, wszystko to błyszczące, wokalo-instrumentalne, lub nawet na sam instrument pomysłane. Opera w kościele, teatr w kościele. Rozporządzenia kościelne ostro wystąpiły przeciwko przekształcaniu świątyni w salę koncertową. Pius X raz na zawołanie kazał wykluczyć ze śpiewnika tak zwane psalmy koncertowe. Wagner grzmiał o czysto wokalną muzykę religijną. Kościół bitwę wygrał. W świątyniach zamilkły wirtuozowskie, efektowne sztuczki. Zwykłość to jest jednak o tyle połowiczna, że przyszło kosztom wylotu w starej zasadzie o wyłączności muzyki wokalnej w liturgii katolickiej. Zasada wykluczająca muzykę instrumentalną straciła rację bytu. Ale czy fakt ten bardzo narusza powagę świątyni? Czy przy zwiększających się piśniach chóru, głębokim wtrórze organu może być coś bardziej doskonałego nad śpiew skazyjpiec w obliczu Boga?

Chorał gregoriański dotrwał do naszych czasów. Stanowcze dekryty papieskie i zdecydowane wystąpienia jego obrońców wywalczyły mu prawo egzystencji i w naszej epoce. Rozbrzmiewa dziś w dni uroczyste poważnie, surowo, jak niegdyś w głąbiach katakumb. A jeżeli od tamtych dni zmienił nieco swą pierwotną formę jest to zasługa spontanicznego rozwoju muzyki, rozwoju któremu chorał musiał ulec.

Trudno przewidzieć, jakie będą dalsze losy śpiewów gregoriańskich. Wypowiedzi ostatnich papieży nadal pielęgnowa ten rodzaj muzyki kościelnej. Najlepszym tego dowodem są słowa Piusa X, w jego słynnym: „Motu proprio“ z 1903 roku.

„...Śpiew gregoriański był i pozostanie na zawsze najdoskonalszym wzorem dla muzyki kościelnej. Kompozycja kościelna tym jest świetniejsza, tym bardziej charakterowy liturgii odpowiada, im bardziej w budowie swej, w natchnieniu i w guście zbliża się do melodii gregoriańskiej, a tym mniej odpowiada powadze Kościoła, im bardziej od swego pierwotnego wzoru się oddala...“

Chrześcijanin w świecie

Chrześcijanin, świat — tak srońcie ewangeliczne słowa, zrozumiałe są dla każdego, bez względu na stopień jego postępowania. Kościółowi i dokonany wybór dla każdego, kto tylko rozważa oddziaływanie religii na rzeczywistość natury i historii. Sama dwuznaczność słowa „świat” z jego ujemnym zabarwieniem w języku chrześcijańskim, podzielił stanowiska, a nawet religie, zależnie od tego, jak człowiek, w tym wypadku chrześcijanin, ustosunkuje się do świata. Chrześcijanin zgrupowani tutaj uznają w duchu ortodoksyjnym, choć poglądy są tu zróżnicowane, że chrześcijanin od tego stopnia jest w „świecie”, iż nie może się „ustąpić” nie biorąc pod uwagę swoich powiazań ze światem — ze światem, który oni kochają i który chcą ratować.

Świat chrześcijanina nie jest światem idealnym, jaki stworzyłyby nasze ludne nadzieje: nie zbijającym z tropu naszej wiary, pozwalającym łatwo na śladach jej; nie jest to świat, w którym oczekiwalibyśmy szczęśliwej przyszłości ekonomicznej, społecznej i politycznej, by praktykować w niej naszą miłość. To właśnie ten świat, w którym żyjemy, taki jaki jest, ze swymi skazami i swą wielkością, ze swymi zaporami i katastrofami, ten świat, w którym pracuje Zło, w którym najgorsze pobudki niezależnie od nas samych usiłują opowiadać naszą wolność. Poza tym światem nasza wiara byłaby ucieczką, ponieważ jest on miejscem wcielania łaski. Co za niebezpieczeństwo. Czyż nie należy „uniknąć niebezpiecznych okazji”? A przecież nie, to jest ten świat, który kochamy i w którym występujemy przeciw wszelkiej hipokryzji, aby w nim właśnie się zbawić. To temu światu, a nie innemu, którego byśmy na próżno oczekiwali, zostało zesłane postanowienie ewangeliczne.

Kościół jest „w świecie”, pełnym powikłań, w świecie wiedzy i polityki, proletariatu w Europie, freudowskich zawłości psychologicznych i społeczeństwa marksistowskiego, przestarzałego kolonializmu i reform strukturalnych, nowych Chin i rozwijającego się islamu, bloków politycznych i ruchów pokoju. Nie ma on z pewnością ani kompetencji, ani władzy, by budować lub obalać ten świat: każda z tych rzeczywistości ma swoje prawo wewnętrzne, którego chrześcijanin jako taki nie może zrealizować ani poprzeć. Jest on jednak wewnątrz jak zaczyn w ciście. Jeżeli zaczyn nie ma w ciście, czemuż ma służyć jego niekrotna czyłność? W ten właśnie sposób, jak to wykazuje historia starożytna lub nowsza, ci czysti i ci odseparowujący się stają się szybko sekciarzami. Chrześcijanin nie jest sekciarzem.

Kościół jest w świecie ze swym kapłaństwem i dzięki niemu, ponieważ kapłaństwo jest jednym z głównych elementów jego konstrukcji. Ono także istnieje w pewnego rodzaju separacji. Czyż stan odosobnienia nie jest słuszną cechą charakterystyczną kapłaństwa? Tak, lecz odliczenie to istnieje po to, by dokonać zjednoczenia. Kapłan jest przede wszystkim wysłannikiem i na przestrzeni dziejów wszystkie poczynania kapłanów, wszystkie wstąpienia Kościoła, zaczynały od „misji”. Najgorszą porażką jest powodzenie Kościoła, który urządza się w świecie, jak w ziemi podbitej. Niektóre formy społeczności chrześcijańskiej przygotowywały śmierć Kościoła. Każde przebudzenie się Kościoła, przeciwnie, było wynikiem zastryków „misyjnych”, których działanie rozchodziło się po całym jego ciecie.

Kapłan jest przede wszystkim wysłannikiem. Fakt, iż jest on konsekrowany — co powoduje jego wydzielenie ze społeczności wiernych — ma sens tylko „dla” zjednoczenia i tylko „w” zjednoczeniu. W najcięższych chwilach dzięki łączności i w łączności odnajduje on sens swego postępowania, podczas gdy świadkowie zaskoczeni tą jednością odnajdują niespodziewanie sens jego konsekracji, która nie zakłada bynajmniej jego izolacji. Kapłaństwa jego nie można przeciw określić w abstrakcji związków czysto niebiańskich nie uznając tego świata, do którego został wysłany i którego łos „poślubia”. Stary biblijny obraz zaślubił się teraz i zausze drogowskazem jego powołania i jego czynów: przyjmuje on wszystkie wymagania miłości, która osiąga swoją pełnię żyjąc nie „obok” drugiego człowieka lecz „w” nim. Wiążąc się ze światem nie obawiając się o swoją wolność: czyż nie w miłości odnajdują zaślubił swoją najwyższą wolność? Nieograniczona wolność chrześcijanina w świecie nie polega przede wszystkim na jego odosobnieniu i poczuciu transcendentalności swego istnienia, odnajdując ją bowiem w pełni swej miłości i w jej przedmiotach, tak jak nieograniczona wolność Stwórcy nie jest przede wszystkim wynikiem Jego absolutnej transcendentalności, lecz tkwi w tajemnicy Jego miłości, która dokonuje się przez całkowitą obecność Jego w dziele przez Niego stworzonym.

Jeżeli obserwujemy w historii przejawy tego współistotnego związku chrześcijanina ze światem, stwierdzamy, że jego doskonałość się i oczyszczenie urzeczywistniają się nie na drodze zagarnięcia świata rzekomo dla Łaski, przez zamknięcie go w klerykałizmie intelektualnym czy politycznym, lecz przeciwnie, przez umocnienie spoiwości naturalnej i wewnętrznej wolności tego świata. Łaska wspomaga wolność, tak samo jak wiara umacnia się przez zachowanie autonomii nauk doczesnych, które nie mogą przekraczać właściwych sobie praw ani granic swego przedmiotu. Stając się bardziej świadomie świecką rzeczywistością ziemską nie umniejsza przez to zakresu dziedziny tego, co święte, przeciwnie, wzbogaca jeszcze jej treść.

Kryzysy, jakie etapy tego postępu spowodowały, we wszystkich przemianach momentach historycznych, w ruchach odrodzeniowych i rewolucyjnych, przestąpiły — niestety, ich pozytywne osiągnięcia. Uświadomienie sobie przez ludzi potęgi umysłu lub możności zawładnięcia wszechświatem przychodziło w chwili upojenia, które wzbudzało w nich pychę, doprowadzając do odepchnięcia od siebie Boga. Laicyzacja nauki i nauczania we Francji w 1880 roku, jak i poprzednio humanizm Renesansu czy wolność Rewolucji, nie musi — jakkolwiek byłoby to przykre dla naszej wiary — ukrywać przed nami prawdy postępu, do którego doprowadzili, poza paternalistycznym światem chrześcijańskim, poszukiwania rozumowe nauk czy niezależnie się ziemskich władz politycznych od Królestwa Bożego. Na tym polega triumf doczesnej wiary, budzącej panią samej siebie, że w ten sposób zarówno podtrzymuje filozofię, jak i zapewnia jej wolność. W swoim czasie św. Tomasz z Akwinu był najznakomitszym teologiem, ponieważ nie wykraczając poza granice wiary uznał znaczenie rozumu, prawdę filozofii, wartość władz świeckich. Im bardziej nasza wiara jest czysta, tym bardziej zapewniamy nam wolność zarówno w odkrywaniu praw wszechświata, jak w naszym postępowaniu społecznym.

Dodujemy: im wiara ta będzie bardziej czysta, tym łatwiej — w dziele świadectwa jej pozbędziemy się pokusy wykorzystywania wartości ziemskich jako „środków” nawrócenia. Byłoby to bowiem fałszywe umiłowanie prawdy. Jak zakonnica pielęgnująca chorego troszczy się o jego wyzdrowienie, a nie o nawrócenie, tak chrześcijanin „w świecie” nie robi z postępu społecznego klasy robotniczej albo z ruchu walczącego o pokój „narzędzia” ewangelizacji. Przeżywając je wewnątrz i zrastając się z nim uczestniczy w tym postępie klasy robotniczej i w tym dążeniu do pokoju wszystkich narodów zgodnie z ich własną prawdą. Tylko w szczerą i serdeczną łączności świadectwo przez niego wierze ma wartość przed Bogiem i przed ludźmi.

Jednak wtedy po przyjęciu wszystkich zastrzeżeń i zastosowaniu ostrożności, jakie zostały wywołane przez te „choroby dziecięce” postępu świeckiego i po przezwycięzeniu kryzysu w budowaniu świata chrześcijanin coraz bardziej staje wobec nowych zagadnień — geograficznych, kulturalnych, społecznych i politycznych — jako posłannik Ewangelii, a nie jako opiekun cywilizacji, którą miałby tworzyć Przez długi czas chrześcijanin, mniej lub bardziej świadomie, znajdował upodobanie „w cywilizacji chrześcijańskiej”, na wszystkich jej polach: od wychowywania dzieci aż do arcydzieł sztuki, a nawet aż do demokracji chrześcijańskiej. Na skutek poważnego błędu w rozumieniu tej „cywilizacji chrześcijańskiej” (ograniczonej w praktyce do Zachodu Łacińskiego) w strukturach społecznych, niegdyś gloryfikowanych, a w rzeczywistości wadliwych, została naruszona wolność Ewangelii i wypaczona wiara.

Żyjemy w chwili, w której rozwój historii, zarówno dzięki odkryciom naukowym, jak i przez dostęp cywilizacji nowoczesnej do polityki światowej, nakazuje chrześcijaninowi, wraz z zerwaniem doczesnych form społeczności chrześcijańskiej ku Ewangelii, zmianę w pojmowaniu postanowienia w świecie. Kościół już nie jest Państwem chrześcijańskim, dokonującym na granicy swego Świętego Imperium wypadów na ziemie wrogie: Jest on „w stanie misji” we wszystkich wspólnotach ludzkich, społecznych, jak i geograficznych. Jest to jego określenie, w stanie czystym „Zadanie misyjne nie polega na przekonaniu się, jaką formę Kościół jako taki przyjmie w świecie, lecz na odkryciu, w jaki sposób świat, taki jaki jest, stanie się tworzywem Kościoła. To nie jest to samo. Jeżeli świat od tego, by żyć, potrzebuje Kościoła, Kościół potrzebuje świata, by się rozwijał i spełnił swoje postanowienie”. Są to słowa kardynała Suharda, wypowiedziane w słynnym liście pasterskim z 1947 roku, który z powagą określa istotę misji Kościoła.

O ANGAŻOWANIU KATOLICKIEGO AUTORYTETU

Katolicki tygodnik austriacki „Die Oesterreichische Furche” poświęcił niedawno dwie strony swego pisma krytyce, zresztą przyjaznej, pozycji ideowych „Dziś i Jutro”. Wśród wielu problemów tam poruszonych, charakterystycznych dla mentalności zachodnio-europejskiej, wybiła się jedna, która, wydaje mi się, zasługuje na bacniejszą uwagę:

„Katolicy, stwierdzają austriacki publicysta, muszą sobie w dzisiejszym świecie stawić pytanie: czy zaczęte trwanie w przestarzałych, nacjonalistycznych kompleksach w stylu pobożności i kaznodziejstwa z osiemnastego i początków dziewiętnastego wieku nie jest tak samo niebezpieczne dla Kościoła, jak bezwarunkowe oddanie się nowym, „postępowym” ideom i ruchom. Obie postawy są ze względów ludzkich i historycznych szkodliwe, obie są jednak szkodliwe i wywołują tylko zamieszanie a nie postęp i pokój.”

„Nie możemy — wnioskuje autor — widzieć w tym Waszej postępowej, wolnościowej, „narodowo-demokratycznej” postawy, lecz raczej cofnięcie się do starouropejskiego ustroju Kościoła, związanego z państwem.”

W innej formie ten sam zarzut podnosi „Osservatore Romano”, kiedy stwierdza:

„Gdy kto mówi, iż jest niezgodnym z prawdą i sprawiedliwością chcieć wiązać katolicyzm z burżuazyjnym kapitalizmem i wszelkimi jego przejawami, to możemy się tylko z nim zgodzić. Dodajmy jednak, że to samo nadużycie popełnia ten, kto chce wiązać katolicyzm z innymi formami ekonomicznymi, społecznymi i politycznymi...”

Przejdźmy do porządku nad werbalnym czysto odcięciem się publicysty włoskiego od „burżuazyjnego kapitalizmu”. Rządy chrześcijańskiej demokracji we Włoszech są najbardziej typowym przejawem „burżuazyjnego kapitalizmu”, a nie znajdziemy w „Osservatore Romano” w stosunku do nich tych zastrzeżeń, jakie wynikać by powinny z powyższego zdania. Zajmijmy się natomiast istotną treścią podniesionego w obu powyższych cytatach zarzutu.

Brzmi on w formie najprostszej następująco: ruch społecznie — postępowy nie wnosi nic nowego do dotychczasowej problematyki stosunków między Kościołem a przemijającymi ustrojami. Przeciwnie, wiąże Kościół katolicki jednakowo ściśle z ustrojem ludowym, jak poprzednio związane go z feudalizmem, czy kapitalizmem. Na miejsce dawnego „sojuszu ołtarza z tronem” buduje się dziś zbieżny przyszłego „sojuszu ołtarza z robotniczą trybuną”. Każdy z tych sojuszków jest w swej istocie niezgodny z zasadami działania Kościoła w doczesności. Gorzej nawet, jest krokiem wstecz, w stosunku do zasad głoszonych dziś na Zachodzie, postulujących daleko idącą rezerwę w stosunku do wszelkiego angażowania autorytetu Kościoła w sprawy doczesne o charakterze społecznym czy kulturalnym.

*

MOŻE słuszenie byłoby zacząć od przypomnienia sobie dzisiejszego stanu faktycznego. Jest faktem,

KONRAD EBERHARDT

W ŚWIECIE EL GRECA

„Odwiedziłem wczoraj El Greca, aby przejść się z nim nieco po mieście. Pogoda była piękna i wspaniale wiosenne słońce radovalo wszystkich. Całe miasto miało wyglądać odświętnie. Zdumiony byłem wchodząc do pracowni El Greca i widząc zasunęte całkowicie zastony okien, tak że z trudem można było rozróżnić przedmioty. Greco siedział na krześle nie pracując, ani nie śpiąc. Nie chciał wyjść ze mną, gdyż jak mówił — światło dnia rozproszyłoby jego światło wewnętrzne”.

Giulio Clovio

W półmroku pracowni El Greco widzi coraz dokładniej wyłaniającą się ku niemu wizję obrazu. Zanim weźmie pędzel do ręki obraz ten musi stać się całkowicie wyraźny. Ale właściwie kompozycja ta wewnętrznie jest już gotowa i pełna. Można przystępować do pracy. Dotychczas niemal odczuwa wznoszący się krzyż, ogarniający ramionami granice obrazu, widzi przegięte w męczeńskim skurczu ciało Chrystusa, wydłużone nadnaturalnie jak refleks świetlny na tle mrocznego nieba. Już przeniesić można na płótno cierpiącą twarz tchnącą wielką ciszą i oczą spoglądającą na ciężką zasłonę z chmur. Ostrym końcem pędzla nakreślić można w głębi wznoszące się skaliste wzgórza, dachy domów i dzwonnice.

Z okien pałacu markiza de Villena, w najbardziej orientalistycznej żydowskiej dzielnicy „la juderia”, gdzie malarz ma swoją pracownię, widać doskonale panoramę Toledo. Ze splekanej, poprzerzynanej jarami ziemi wyłaniają się mury i domy, cmentarze i ogrody. Podnoszą się wieże świątyni różnych wyznań i obrządków. Szare brzoła zamków chrześcijańskich i maurańskich

że Kościół katolicki, nie w swej istocie transcendentnej, lecz w swych formach zewnętrznych, historycznych, jest dziś w znacznej mierze powiązany z rzeczywistością świata kapitalistycznego. Gdy kardynał Spellman, pierwszy dostojnik Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, wygłasza w Brukseli odczyt o obronie maccarthyzmu, to nie ulega wątpliwości, że staje się narzędziem propagandy amerykańskiego imperializmu i swym wystąpieniem angażuje poważnie autorytet katolicyzmu. Gdy biskup katolicki w Kenii występuje z listem pasterskim przeciw miejscowym tendencjom narodo — wyzwolenczym, to bez wątpienia służy tym aktem sprawie kolonializmu, który będzie się jego autorytetem konsekwen — tnie posługiwał. Tym wystąpieniem można jednak przeciwstawić inne, o przeciwnych tendencjach — tak więc hierarchia katolicka na Madagaskarze wystąpiła niedawno w obronie praw tubylców, ku oburzeniu miejscowej, kolonialnej administracji francuskiej. Niektórzy francuscy biskupi występowali w ciągu zeszłego roku przeciw bezrobociu, a jeden z bardziej znanych — biskup Ancel z Lyonu — przeciw idei woj. y interwencyjnej.

Bilans jednak nie jest wyrównany. Jest faktem, że zaangażowanie autorytetu katolickiego po stronie świata kapitalistycznego, jego polityki, obrony jego stanu posiadania jest znacznie większe, niż sporadyczne głosy protestu, które się oczywiście coraz to odzywają. Kościół katolicki niektórymi swymi formami doczesnymi wrości po prostu w rzeczywistość świata kapitalistycznego tak dalece, że nie czuje się w sile rozprawić radykalnie z jego błędami, a obawia się przede wszystkim, które by nadeszły z zewnątrz, pod wpływem działania sił wyrażających światopogląd niekatolicki. Pierwszym więc faktem, który należy stwierdzić, jest stan daleko idącego powiązania poszczególnej społeczności katolików i poszczególnych instytucji Kościoła z rzeczywistością i interesami świata burżuazyjnego i kapitalistycznego. Miejscami zaś konstatujemy powiązania ze światem feudalnym, które jeszcze do dziś przetrwały w tych krajach, gdzie kapitalizm rozwija się jeszcze powoli — na przykład w Hiszpanii.

Jeśli spojrzymy na tę sprawę z wielkiej perspektywy historycznej, wówczas wiązanie się doczesnych struktur Kościoła z rzeczywistością społeczno — kulturalną poszczególnych epok wydaje się zjawiskiem naturalnym. Nas jednak tak obiektywistyczne stwierdzenie nie może zadowolić. W każdej epoce, w stosunku do każdego ustroju mieli katolicy do spełnienia swe zadania społeczne, lecz spełniali je lepiej lub gorzej. W stosunku do rzeczywistości kapitalistycznej, która zbieżyła i brutalniej niż kiedykolwiek uprzednio polegała na niesprawiedliwości i wyzisku, społeczność katolicką nie potrafiła na ogół wypełnić swych zadań na czas i skutecznie.

Ponadto ta rzeczywistość kapitalistyczna szybko weszła w stadium wewnętrzznego permanentnego kryzysu wobec wzrastającego buntu wyzyskiwanych mas proletariackich i ich kolejnych, rewolucyjnych sukcesów. Fakt rozłamu świata na dwa

wielkie, przeciwstawne obozy społeczne — za i przeciw kapitalizmowi — tym bardziej zobowiązały katolików do zajęcia zdecydowanego stanowiska wobec zbrodni kapitalistycznych. Jest faktem, że po stronie proletariackiej zabrakło głosów katolickich. Wiele dobrych chęci okazało się niestety pozbawionych możliwości praktycznych, nieliczne stanowiska radykalne i bojowe były znanymi osamotnione. Na koncie popleczeńków rzeczywistości kapitalistycznej zapisać należy zarówno jej zdeklarowanych obrońców, w typie właśnie kardynała Spellmana, jak i tych, którzy za wzorem obecnych chrześcijańskich demokracji służyły swym reformistycznym programem jako alibi dla zaniepokojonych sumień burżuazyjnych. Ta szala nie przestała w ciągu ostatniego okresu przeważać zdecydowanie na korzyść świata kapitalistycznego. To stwierdzenie jest prostym podsumowaniem faktów, abstrahujących od czysto teoretycznych programów lub indywidualnych czy zbiorowych milośnianych wysiłków.

W tym stanie rzeczy nie możemy w żadnym wypadku zgodzić się z sugestią, że byłoby wyrazem postawy „postępowej” po prostu wycofywać katolików z wszelkiego społecznego zaangażowania, na rzecz wyabstrahowanego od rzeczywistości utopijnego ideału. Przeciwnie, postulujemy angażowanie się katolików w życie społeczne na zasadzie dwóch kryteriów — słuszności sprawy i zgodności z zasadami działania Kościoła katolickiego w doczesności.

*

NIE będziemy się tu zatrzymywać przy argumentowaniu słuszności sprawy walki wyzyskiwanych mas proletariackich i ludów kolorowych. Zbyt często i wyczerpująco była już ta argumentacja omawiana. Może warto tylko przy tej okazji dotknąć dwóch problemów, które jeszcze w dalszym ciągu stanowią przeszkodę dla niektórych katolików na drodze do zrozumienia celów społecznie postępowych. Jednym z nich jest oczywiście odkrycie różnic światopoglądowych i faktu wpływu światopoglądu materialistycznego na powstanie rzeczywistości socjalistycznej.

Cele światopoglądowe katolików społecznie postępowych są najzupełniej jasne. Zaciemnia jednak obraz specyficzna propaganda, płynąca ze źródeł burżuazyjnych, która z różnic światopoglądowych chce uczynić specyfikę rzeczywistości socjalistycznej, która skrajnie ukrywa zarówno przesławie, jak i teraźniejsze starcia światopoglądowe zachodzące w świecie kapitalistycznym. Nie wspominając już o przeszłości, trzeba stwierdzić, że najróżnorodniejszymi torami rozwija się na Zachodzie ofensywa burżuazyjnego ateizmu i że z drugiej strony pewna religijna frazeologia przywódców kapitalistycznych, takich jak Eisenhower czy Dulles, nie ma nic wspólnego z naszym zrozumieniem uczciwej, chrześcijańskiej postawy światopoglądowej. Należy również pamiętać, że nawet daleko idące różnice światopoglądowe nigdy same przez się nie przesądzały o słuszności toczącej się walki społecznej. Przy-

pomnijmy sobie choćby rewolucję francuską, czy Wiosnę Ludów, których słuszności historycznej nikt rozsądny dziś nie neguje, zapominając nieraz o konfliktach światopoglądowych, które te wielkie prądy niosły dla świata katolickiego. Katolik winien być nastawiony na to, że scieranie się światopoglądów jest nie tylko zjawiskiem od wieków towarzyszącym działalności Kościoła, lecz ponadto typowym przejawem ewolucji stosunków i walki o postęp. Straszliwe konsekwencjami różnic światopoglądowych jest typowym chyłtem reakcyjnej demagogii. Te chyłniki, które po stronie katolickiej odrzucają rzeczywistość socjalistyczną dlatego tylko, że niesie ona ze sobą głęboką i trudną problematykę światopoglądową — dają tylko dowód, jak ciasno i reakcyjnie rozumieją tworząc rolę katolicyzmu.

Drugim problemem jest skłonność niektórych katolików do patrzenia na zagadnienia społeczne z wyżym rzekomo chrześcijańskiego sceptycyzmu. Rzeczywistość społeczna, twierdzą oni, nigdy nie będzie doskonała. Wszystkie kolejne ustroje, próbując różnych udoskonaleń w stosunkach międzyludzkich, w istocie swej warte są tyle samo. Socjalizm, zdaniem tych sceptyków, jest inny od kapitalizmu czy feudalizmu, ale w istocie wart jest tyle samo.

Stanowisko głęboko antychrześcijańskie, bo antyludzkie. Nie tylko zakłada kompletną obojętność wobec możliwości udoskonalenia społecznych, ale jednocześnie wyraża najgłębszy egoizm ludzi, którym obce są wszelkie cele pozaosobiste. Tylko egoizm i wygodnictwo powoduje niemożność dostrzeżenia oczywistego faktu, iż ludzkość, mimo swych doczesnych uwarunkowań, osiąga kolejne szczeble doskonałości — że walczą o cele pozytywne, które stwarzają kryteria oceny wartości poszczególnych epok i ustrojów.

Stwierdzamy prosto, iż kryterium słusznej sprawy pozwala katolikowi w sposób zupełnie konkretny na ustalenie się w obszarze społecznego postępu i na podjęcie zdecydowanej walki o zerwanie powiązań łączących dziś różne doczesne formy działalności Kościoła ze światem kapitalistycznym. Tak czyniąc nie wpada on z jednego błędu w drugi, przeciwnie — wyprowadza swoją społeczność katolicką z sytuacji moralnie i historycznie fałszywej na pozycje nie tylko słusznej, ale ponadto otwierające Kościółowi realne perspektywy dla wypełniania jego misji apostołskiej.

CHODZI teraz o to, by katolik, zajmując pozycję społecznie postępową nie popadał jednocześnie w konflikt z pewnymi niezmiennymi zasadami, które winny rzadzić działalnością Kościoła katolickiego. Czynnikiem na przykład z katolicyzmu „kościół państwowy”, choćby na usługach sprawy społecznej postępu byłoby oczywistym wypaczaniem samej istoty Kościoła katolickiego. Jeśli możemy stwierdzić istnienie w przeszłości podobnych tendencji, a nawet i konkretnych sytuacji historycznych tego

Dokończenie na str. 6.

Wyspom tajemniczym
Rzekom śpiwnym
Świsłowi zakochanych wiatrów
Nocy spokojnej
Gdy powstaje Aurora
Muzycę zamartwiał
Ciszy dzwicznej
Kielichowi, który odnawia się i odurza (przekład autora)

W chwili, gdy różnojęzyczny gwar Toledo, miasta, w którym spotykały się niemal wszystkie rasy i narodowości, zwolna uciha, głos mały mistycy i poeci. Czy może wówczas, pod piórem Calderona powstał ów wspaniały obraz

To nie tylko credo filozoficzne pisarza, to na pół świadomie narysowany obraz tragicznej Hiszpanii, której wielkość i potęga jest tylko snem, wspaniałą, czarującą złudą, za którą czai się niedza milionów, cierpienie podbitych ludów, bezwład ustroju. Wielka, zdolna podbić cały świat potęgą swego

nolog z „Zycia snem” (La vida es sueño)?
Que es la vida? — Un frenesi
Que es la vida? — Un illusion...
„Czym jest życie? Chwilą złudzenia
„Czym jest życie? Tylko marzeniem”

El Greco — Widok Toledo



El Greco — Widok Toledo

„ZŁOTY WIEK” HISZPAŃSKIEGO TEATRU

W teatrze, w sztuce dramatycznej, która pod koniec XVII w. zanika „jak wielka rzeka w posusze piachów” — wyraża się najpełniej to, co jest najbardziej znamienne, najbardziej swoiste, jak najbardziej buntownicze i twórcze w „złoty wiek” hiszpańskiej sztuki, sztuki na którą wolno patrzeć jak na ostatni rozblask twórczego rozmachu Hiszpanii, na legitymację jej światowej potęgi i na wielkie podzwonne jej historycznych, zaprzeczonych przez politykę królów i feudalów, możliwości. W teatrze, w sztuce dramatycznej, wybuchła plomieniem to, co jest najbardziej znamienne dla charakteru narodowego Hiszpanii, dla charakteru narodowego skryzystalizowanego w masach ludowych i przez masę ludową, chłopstwo, mieszczaństwo i drobna szlachta, w toku ich zaciętej, wielowiekowej walki z Arabami, w okresie rekonkwisty. Miłość wolności, świadomość klasowa i świadomość narodowa, rycerski kult bohaterstwa i przywiązanie do wiary — oto te cechy, które, podsygnowane zdobyciem Grenady w 1492 r., połączyły swoje piętno na wielkiej ludowo-narodowej sztuce dramatycznej „wieku złotego”. Nia przemawia po dziś dzień żywo dawna Hiszpania, ta Hiszpania, która w XVI i XVII w. przeżywała okres swoich ostatnich sukcesów — i okres swego politycznego upadku. Od zwycięstwa nad Maurami, przez połączenie Kastylii i Aragonii małżeństwem „królów katolickich”, Izabelli i Ferdynanda, przez podbój Meksyku i Peru, przez wielką, ugruntowaną na krzywdzie, politykę kolonialną, przez rozrost potęgi morskiej — po militarystyczny dyktando polityki habsburskiej Karola V, w którego państwie „nie zachodziło słońce”, po walki z Anglią o hegemonię na morzu, zakończone klęską „niezwyciężonej armady” w 1588 r., po cios, jaki zadała Hiszpanii pierwsza zwycięska rewolucja burżuazyjna w Niderlandach — oto linia rozwoju i regresu politycznej potęgi Hiszpanii. Jej regres jest wiernym wyrazem regresu w układzie stosunków społecznych na terenie Półwyspu Pirenejskiego, regresu w polityce wewnętrznej — i niewątpliwie jego skutkiem. Może nigdy i nigdzie tak jaskrawo, jak w Hiszpanii w tych wiekach, nie ujawniła się krzywda ludu, twórcy, zwycięskiego twórcy narodowej historii, coraz silniej uciskanego przez feudałów, przez politykę dynastyczną (Karol V), przez wzrastający despotyzm wladców (Filip II), angażujący w swoje interesy hiszpański Kościół. Względnie postępowy feudalizm w XV w., czego wyrazem jest to, że gminy wiejskie podlegały bezpośrednio królom, że posiadali samorząd, że widły spory z arystokracją, biskupami i klasztorami, spotyka się z reakcją o ostrzu skierowanym przeciw mieszczaństwu, chłopom, dążeniem centralistycznym władzy królewskiej. Wprawdzie kładła kres doraźnym ambicjom feudałów „królów katolickich”, Izabella i Ferdynand, ale korzysta z nich Karol V dla swojej dynastycznej, habsburskiej, ponadnarodowej polityki. Jej socjalnym plonem, obok przemienienia Hiszpanii w kraj dostarczający żołnierza dla potrzeb habsburskiej polityki — krwawo stłumione bunt

chłopskie, mieszczańskie, szlacheckie, bunt wymownie nasycające historię Hiszpanii zarówno w XV jak i XVI w. Zdobycie kolonii, rozrost handlu, zalew złotem Ameryki — uderzył w kraj zacofany gospodarczo — istną klęską; „bogata nędza”, „rewolucja cen” — oto skutek, którego wydzwiekiem społecznym ostry podział społeczeństwa na świat możnych, na świat urzędników administracyjnych i żołnierzy oraz na świat nędzarzy, słynnych obieżyświatów i żebraków, tych, których i dolę i bunt wypowie *novella picaresca*.

Silna ręka króla-despoty i usługowa wobec niej ręka hiszpańskiego Kościoła — aktywizuje trybunał „świętej Inkwizycji”, stojącej na straży ortodoksji religijnej i czystości obyczajów, a broniący kraj przeciw herezjom i wolnej myśli mobilizującej w innych krajach masy ludowe przeciw dotychczasowemu autorytetom politycznym. Jego wyroki, zapalające stosy — znaczą się krwawymi *auto-da-fé*, widowskami pełnymi grozy, których ponurej pompie przypatrują się na madryckim *plaza Mayor*, który może objąć 52.000 widzów, król, królowa szlachta — z galerii wspaniale udekorowanej. Skazanych na ogień, który wraz z ofiarami fanatyzmu, ubranymi w tuniki niesław, *sambenito*, pożera i ideal „dobrego króla” i miłość chrześcijańska — odprowadzają barwne procesje miejskich i dworskich algazilów, oficerów, członków trybunału o twarzach zasłoniętych krzyżem — konsultantów, notariuszy, inkwizytorów Świętego Oficjum...

Widowskowi patosowi *auto-da-fé*, którego reżyseria spoczywa w ręku króla-despoty — odpowiada wyrosły z zamilowań i reżyserowania przez masy ludowe, patos widowiska teatralnego, patos ukazywanych teatralnie zmagania życia ze śmiercią, patos walki, której ostry smak zakorzeniony w starych rycerskich tradycjach ludu hiszpańskiego podtrzymywany jest stale w napięciu, w obniżonym co prawda walorze, przez tak charakterystyczne dla zamilowań hiszpańskich — walki byków.

Teatr na gruncie hiszpańskim — jest istotnie sprawą ludu. Lud jest reżyserem teatralnych widowisk, ich odbiorcą, lud postuluje swój dramat, kładąc swoje piętno na jego charakterze. Dla niego to kształtują się wielkie powiązania z tokiem uroczystości roku kościelnego, szczególnie z uroczystością Bożego Ciała, wielkie widowiska teatralne na placach miejskich; on jest sprawcą swoistej, hiszpańskiej krystalizacji średniowiecznego dramatu w formę dramatyczną religijnych *autosów*, rozlamanych przez realistyczne *entremeses* i *pasos*, poczyna się niebawem żyć własnym życiem, a życiem długim, jeśli ich kontynuację uprawia jeszcze wiek XIX w postaci tzw. *genero chico*. „małego rodzaju”. Lud, rozkochany w sztuce teatralnej, pragnie ją oderwać od odświeżonej rzadkich świat kościelnych; żąda by towarzyszyła jego codziennemu życiu. Wyrazem tego — wędrownie trupy aktorskie, z których jednej kierownikiem *Lope de Rueda*, twórca *interludium*, autor *10 pasos*, mistrz realistycznego, a

pełnego poezji, dialogu, kształconego na liryczno-dramatycznych *seranillas* i *romancach* ludowych. Przedstawienia wędrownych trup aktorskich — to do połowy XVI w. jedyny świecki teatr dla ludu; nie ma on bowiem dostępu do teatrów dworskich. Jest rzeczą zrozumiałą, że jego wyobraźnia skompenzować musi ubóstwo aparatu scenicznego, godząc się na długi szereg inscenizatorskich konwencji. Zresztą nie ma z tego bez dobrego; ubóstwo aparatu scenicznego, któremu dał świadectwo Cervantes mówiąc w przedmowie swoich komedii, że nie ma się w worku, zawierającym cztery kaftany, skórę owczą z frędzlami, cztery brody, cztery peruki i cztery kije pasterskie — zwalniao dramaturga od przymusu liczenia się z możliwościami sceny; nie było takiego patosu ani takiego komizmu, takiej egzotyki, takiej sceny zbiorowej na którą nie mogłaby sobie pozwolić wyobraźnia dramaturga. Ubóstwo środków teatralnych niewątpliwie współdziałało w krystalizowaniu się owej tragikomedii, która zaszczytnie śmierci rewolucyjnie obdarzała i przedstawicieli plebsu, a w komizm sytuacyjny wplątywała i możnych tego świata. Bez tej niesłychanej swobody trudno wyobrazić sobie krystalizację wielkiej, ludowej, hiszpańskiej formy dramatycznej, jaką jest *comedia espanola*. — Nie wiele się zmieniło z powstaniem teatrów dla szerokiego mas, zarówno na prowincji, jak i w Madrycie, który w XVII w. posiada dwa pryncypalne. Tworzą je podwórza zamknięte przez dwa szeregi domów; w głębi scena pokryta dachówką; na przeciw niej ławki osłonięte namiotem przed deszczem i słońcem. Za nimi — stojące miejsca parterowe. Protegowani zajmują miejsca w głębi sceny. Boczna galeria, „cazuela” zarezerwowana dla kobiet. Z okien pierwszego piętra, zakratowanych, zagłębione niekiedy król; z okien drugiego piętra błysnie nieraz sukienka duchowna. Nie ma kurtyny i kulis; aktorzy przebiegają się z boku sceny, na oczach ciekawych. Ciężar artystyczny przedstawienia dźwiga na spółkę autor i aktor, którego wysoka sztuka, nie bez przesady w wyrazie, spotyka się z frenetyczną reakcją publiczności. Grandelocwencja obfitego słowa, często wspomaganego improwizacją aktorską, jeśli dramaturg ograniczył się do nakreślenia schematu fabuły — budzi entuzjazm mas.

*

„Złoty wiek” hiszpańskiej literatury, którego początek zwykle się ustala na drugą ćwierć XVI w., a koniec na datę śmierci Calderona (1681 r.) chyba najpełniej wyznaczony jest dziejami dramatu. Ale w takim razie trzeba silnie z nim związać jako z przedpolem fakt o ogólnoswiatowej doniosłości, którym jest Celestyna Rojasa i twórca *Juana del Encina* (1469 — 1530 r.) zwanego „ojcem teatru hiszpańskiego”. W twórczości tego znanego i uznanego poety, w jego *villan cicos* i poezji pastoralnej, w jego kompozycjach dramatycznych, *representaciones*, *autos*, *farsas*, a zwłaszcza *eglogas*, a także osnutych na tematyce religijnej, żywo się odbija życie społeczne, charakter i obyczaje ludu. Bohaterowie — wię-

ci z ludu; mówią językiem prostym, nasyconym dialektem *sayagues* (z okolic Sayago); sceny np. między pasterzami a studentami z Salamanki (*Auto del repelon*) — tchną prawdą obserwacji. — Pierwszy okres „złotego wieku” — to sukces dramatyczny szkoły Enciny, to twórczość *Torresa Naharro* i *Gila Vicente*; drugi, szczytowy, wyznaczony jest twórczością *Lope de Rueda* i jego szkoły, *Cervantesa*, słynnego *Guillena de Castro*, a przede wszystkim genialną twórczością giganta teatru, *Lope de Vega*, jego uczniów i współzawodników, spośród których własną kartę zdobył sobie *Tirso di Molina*; okres końcowy strzesza w jego gasnących blaskach twórczość *Calderona*.

Duch ludu, który wybuchnął jaskrawym obrazem i społecznym ingerencją w dramacie kultury dworskiej, która rozbiła wielki ładunek renesansu na bizuteryjne cacka sztuki dworskiej, obce w swym kosmopolityzmie wielkim tradycjom narodowym; antyczny-mitologiczna tematyka *fiest* dworskich, humanistyczna gładkość *komedii uczzonej* (*erudita*) — pozostanie marginesem dziejów dramatu tej epoki. Dworski manierizm stylu, napsunosie i błyskotliwa efektywność gongoryzmu i minoderia kultury — prześliznęły się tylko po powierzchni języka wielkiego dramatu. Skomplikowane perypetie polityki królewskiej zbliżają i oddalają Hiszpanię i Włochy, import, drogą wpływów dworskich, włoskiej ludowej *commedii dell'arte* — nie narzuca hiszpańskiemu dramatu jej form, chociaż zostawia one na nim pewne ślady, być może, że w tym wyrazie, w czym import włoski spotykał się z tradycją rodzimą i w stylu improwizatorskim. — Z tymi falami obcości miała czym walczyć kultura ludowa hiszpańska. Rozporządzała przecież swą wielką poezją epicko-liryczno-dramatyczną w przebogatym skarbcu *romance*, zrodzonych wśród walk o wolność narodu, w czasach rekonkwisty. W nich zdeponowała swój kult rycerskości, swoje przywiązanie do wiary, w nich opiewała bohaterstwo *Cyda*, walki *hidalgów* z feudałami, w nich żaliła się na ucisk i krzywdę, w nich gloryfikowała piękno życia i miłość, patos walki, wielkość heroicznej śmierci. *Romance* i ich zbiory, liczne *romancera* — to dla dramatu hiszpańskiego niewyczerpany zasób rodzimej tematyki; to równocześnie szkoła gładkiego, błyskotliwego — przy prostocie — dialogu, szkoła lirycznego słowa, pełnego serdecznego patosu; to szkoła formy wierszowej. Dramat hiszpański

(Dokończenie na str. 9-ej)



El Greco — Głowa Chrystusa



El Greco — Św. Marcin na koniu



El Greco — Św. Franciszek

geniuszu, urokiem oślniewających paradokсів Hiszpania — umiera zwolna. Ale czar jeszcze trwa. Słowa Calderona zdają się oblekać w kształty na płótnach jednego z najdziwniejszych malarzy, jacy przesunęli się przez ludzkostwo — El Greca. Znika u niego jedyny, krwisty konkretny Ribery, obcy mu będzie rzetelny realizm *Velasqueza*, idylliczna słodycz *Murilla*. Zanika u niego wyczuwalna u innych malarzy grawitacja przedmiotów, rzeczywistość, oparte na studiach proporcje ludzkiego ciała; zwykłe niebo, czyste lub pokryte obłokami; znika statyczność przedmiotów i ludzi, przemienia się cała widzialna rzeczywistość. Niebo u El Greca zaludniają aniołowie, lekkie ptaki unoszące się w powietrzu wśród chmur; ludzjom wydłużają się ciała podobne płomieniom, tracą materialną spójność, dają od ziemi ku górze. Nadprzyrodzony świat ucieleśnia się i wkracza w ludzką rzeczywistość, jak wichur pełen dynamicznej mocy.

Jakim jest bowiem ten świat, niewdzialny, roztopiony gdzieś ponad nami w powietrzu? Czy przystanią cisi, spokoju, bezruchu?

„Oto w ołtarzu kościoła Santo Domingo el Antiquo spotykają się te dwa światy w „Pogrzebie hrabiego Orgaz” El Greca. Szczególnie już werniks, jakby chciał osłabić ostrość tego spotkania, ale dzisiaj jeszcze przemawia ono do kłęczących u jego stóp pielgrzymów. W części dolnej obrazu trzydziestu panów hiszpańskich i mnichów, których głowy tworzą rodzaj długiego, postrzępionego fryzu, asystuje przy składaniu do grobu hrabiego Orgaz przez św. Augustyna i św. Stefana. Wspaniała geometryczność i symetryczność postaci, matematycznie dokładna kompozycja tchnie ładem hierarchii i porządku. Twarze obecnych wyrażają „bezmiejską obserwację lub zadumę. Ale tuż nad głowami dokonuje się cud: oto duży dumny grunda, naga, pozbawiona ciała i dostojnościwa próci o przyjęcie u dworu niebieskiego: Matki Boskiej, Chrystusa Pana i świętych. Lecz cóż to za dwór,

daleko mu do zastygłej hieratyczności dolnego planu. W kłębowisku chmur wznosi się niemal jakimś wirtem, obłąkanym baletem. Rozwiane szaty aniołów i skrzydła muskają trwające w bezruchu głowy grandów i mnichów...

— Szalony El Greco! — wołali współcześni, widząc po raz pierwszy przedziwny obraz. Malarze współcześni dokonywali jego kopii bez części górnej, która ich przerażała. Szalona wizja El Greca wzdrzała się do celi surowego i pedantycznego władcy Filipa II, który wzdragał się ozdobić jego obrazami: ścianą wznoszonego pałacu — grobowca, Eskurialu Legenda o obiedzie El Greca przetrwała wieki, poświęcono jej naukowe rozprawy. Inni porównywali jego obrazy do zjaw sennych. Czyżby można było malować snem? Czyżby niewielka tylko leżała przepaść między konkretem a wizją? Między niebem a ziemią?

„Jeżeli granica
Jest między niebem a ziemią,
jeżeli...”

„Wieczne powietrze nad Toledo, czyste, pachnące jeszcze dniem odbiera miastu ciężar masywu. Chmury płyną nisko, rwą się na zębatych czołach wież — wydaje się, że to miasto uniosło się, aby móc ich dotknąć. Tak jak w ełbi płóci „Ukrzyżowania”, „Zmartwychwstania”... „El Greco” — pisał współczesny nam krytyk Jean Babelon — tworzy na nowo świat z dziwnej substancji, na pół materialnej, nieznanej naszym zmysłom. To, co pozornie zbliża ten świat do zjaw sennych to nie tylko jego materialna niekonkretność — ale również istnienie naczelnej zasady, niejako klucza, według którego jest budowany. Sen posiada również własną symbolikę i deformację zebrań przez nas wrażeń dokonują się według pewnej myśli, która przenika naszą świadomość podskórnym, nurtem, a wyzwała się w pełni dopiero w czasie snu. W marzeniu sennym lepimy świat na nowo jak z plasteliny — możemy elementom jego przydawać tęcz lub odejmować. Możemy mieszać sy-

tuacje i zjawiska. Możemy naginać go do wymiarów naszej świadomości i zmieniać dowolnie jego proporcje. Ustanawiamy prawa jakimi ma się rządzić. Ustanawiamy je tak, jak czynił to Greco w świecie swej sztuki — ale czynił świadomie, konsekwentnie, według przemyślanych zasad.

W „Zmartwychwstaniu” postać Chrystusa cienka jak łydga niemal wystrzela w górę, pozostawiając rozrzucone głowy, porożnięte strażników z impetem tak wielkim, jakby dokonał tego wybuch. W obrazie „Chrystus w ogrodzie oliwnym” (ostatnia epoka), Zbawiciel prawie unosi się na świetle płaszczyzny, a szaty śpiących uczniów przypominają olbrzymie, wypełnione powietrzem muszle. Zwiastowania hiszpańskiego malarza nie przypominają tamtych z malarstwa włoskiego. Daleko pozostałymi nabrzmiałe spokojem i ciszą sceny z Fra Angelica, Leonarda da Vinci, czy Belliniego ze szkoły weneckiej. W „Zwiastowaniach” El Greca niemal słychać szum skrzydeł zwiastujących anioła, rozpadają się ściany pokoju, w górę ciśnie się ciżba ciekawych aniołów. Zjaw senną przypomina „Zesłanie Ducha Świętego” — wszyscy uczniowie zdają się unosić ku płomykom wibrującym nad ich głowami. W „Śnie Filipa II” król kłęczy na czarnej poduszce i spogląda w otwarte niebo dokąd wstępują zbawieni, obok potępione dusze znikają w gardziel ogromnego wieloryba. W „Pogrzebie hr. Orgaz” cud dokonuje się tuż nad głowami ludzi...

U El Greca każdy obraz posiada własną myśl, której podporządkowane są wszystkie elementy. Jest jednym z największych ekspresjonistów w dziejach sztuki, który dla pełniejszego uzyskania wyrazu celowo naginał rzeczywistość do przyjętej koncepcji, celowo ją deformował. Stąd poprzez dzielące wieki — wiele łączy El Greca z współczesnymi nam artystami, których widzenie świata, ideologia decyduje o układzie treści, a czasem nawet zmienia proporcje przedstawionych rzeczy celem większej wyrazistości

myśli. U El Greca świadoma idea twórcza, której podporządkowane są wszystkie elementy, jest głęboko przeżyty katolicyzm — on to zdecydował, że na obrazach hiszpańskiego artysty przemikają się dwie rzeczywistości, a ludzkie ciała wysmuklają się ku niebu. Gdy stajenki malarzy włoskich tchną spokojem i radością — „Narodziny” El Greca wyrażają wielkość, niezwykłość, dramatyczność zdarzenia. Tej myśli podporządkowane jest operowanie światłem i cieniem, gesty, mimika osób. W wielu obrazach malarz potrafi zrezygnować z tej metody twórczej, z wielkiej metafory, z przenośni, z symbolu. Gdzieś indziej jednak celowo zagęszcza atmosferę pozornego „snu” — zadziwia niezwykle widzeniem świata zyskując miano szaleńca. Nie dba jednak o to. Zamknięty w pracowni gromadzi w sobie „światło wewnętrzne” potrzebne dla pełniejszego wyrazu Prawdy.

Gdy noc spada nieoczekiwanie — miasto cichnie zupełnie. Milknie rozgwar spraw ludzkich, stary pałac Villena odpływa również w wielką ciszę. Ale wtedy odzwa się niebo. Burza przeciąga nad Toledo w całym majestacie i przepychu. Błyskawice rozświetlają przestrzeń, docierają do najgłębszych jarów. El Greco rozsława zastony w pracowni. Stojąc przy oknie ogarnia wzrokiem wspaniałe widok, który zamknięty w jednym z najpiękniejszych obrazów: „Toledo w czasie burzy”. I jego twarz ogarnia na moment jasność. Czy to na pewno ta, którą znamy z autoportretów?... Długa, smutna twarz, zakończona ostrą brodką, jak gdyby z lekką asymetrycznością. Za chwilę zginie w mroku. Bo ona jest najmniej ważna. Najważniejsze, że zostały płótna, na których „szalony” El Greco, dziwny przybysz z wyspy Krety oddał sprawiedliwość widzialnemu i niewidzialnemu światu i kazał świętym postaciom zabłąkać się na skalistej i smutnej ziemi Hiszpanii.

Konrad Eberhardt

ZE WSPOMNIENIĘĆ STAREGO AKTORA



Leon Stepowski, artysta dramatyczny, zmarły w 1914 r. w Krakowie, znany w historii naszego teatru z roli „Starego aktora”, jaką ofiarował mu Wyspiański w „Wywołaniu”, pozostał po sobie pamiętniki, obejmujące okres jego wspomnień aktorskich z lat 1872—1904. We wczesnej młodości był aktorem sceny warszawskiej i poznańskiej. Największe zasługi posiadał dla sceny krakowskiej jako aktor najstarszej tamtejszej generacji z czasów dyrekcji Koźmiana, Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i Solkiego. Wraz z E. Łuskiem napisał dramat pt. „Szopen”. Podczas ostatniej wojny spłonęło w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu dzieło długoletniej jego pracy historyograficznej: kilkunastotomowy, opatrzony komentarzami zbiór sztuków, rysunków, rycin i ilustracji do dziejów Polski, łącznie ze szczegółnie zasobną kolekcją fotografii powstańców z 1803 r. Podobny los spotkał niestety i rękopis pamiętników L. Stepowskiego w spalonej w 1944 roku Warszawie. Przygotowane do druku w dwóch tomach przez jego syna, Janusza, zachowały się one po dziś dzień zaledwie we fragmentach — jak m. in. poniższy, charakterystyczny we wspomnieniu z 1873 roku do niedługo ówczesnego aktorskiego życia podczas objazdu z trupą teatralną po prowincji.

AMIĘTAM z lat wczesnej mojej młodości repertuar sztuk, które, zyskawszy największe uznanie w oczach niewybrednej publiczności w Warszawie czy Łodzi, zapewniały wówczas niemiędsze powodzenie wędrownym trupom aktorskim podczas ich objazdu po prowincjonalnych miastach i miasteczkach.

Grywałem się przede wszystkim krzykliwie bombiada, najczęściej ze śpiewami do wtóru rzucającej mu

zyki. Już w ich tytułach musiało być coś osobliwego — na przykład. Do takiego repertuaru należały bzdury oczywiste, jak „Obiadek i Magdusia”, lub „Papugi naszej babuni”. Nie odróżniali się od nich sztuczki tego rodzaju i pokroju jak „Adam i Ewa” Karola Kucza, jak Debińskiego „Barłoz pod Krakowem”, Ładnowskiego (ojca) „Zosia druha”, jak również sławny „artyści” tego autora pt. „Zyd w beczce” czyli „Icek zapieczetowany”. Do takich sztuczek dorzucał niedźwiedź dyrektor, wędrujący wraz z swoją trupą od siola do siola, nie mniej popularne w tym czasie utwory sceniczne, jak np. „Kominarza i młynarza” J. N. Kamińskiego, „Piosenkę wujaszka” Fredry (syna), albo „Starego piechura” Szyguetego.

Z repertuaru poważniejszego, jeśli zjawia się czasem w tej sociecie „Intryga i miłość”, „Mazepa” czy „Maria Stuart”, to jedynie w jakichś fragmentarycznych wyjątkach — dla popisu pani dyrektorowej.

A w jakich warunkach odbywały się owe występy? Jak przyjmowano trupę teatralną w zabitych deskami od świata, prowincjonalnych zaściankach? Cóż znaczył tam aktor?

Oiż było to w 1873 roku. Duże powodzenie zyskała wówczas komedia Jana Chęcińskiego pt. „Szlachectwo duszy”. Chęciński — aktor, następnie jeden z kierowników sceny warszawskiej za rządów Muchanowa, niemały miał wtedy rozgłos jako komediopisarz, a zatamował autor libretta do oper Moniuszki „Straszny dwór”, „Parla” i „Liberum veto”. Jego „Szlachectwo duszy” było nie lada okrasą naszego repertuaru, co mi też szczególnie pozostało w pamięci.

Ciągnęliśmy właśnie rzemiennym dyselem po prowincjonalnym szlaku w okolicach Sieradza, Kola i Wielunia. Dyrektorem naszej trupy teatralnej był Modzelewski. W objazd ten wyruszyliśmy z Łodzi po występach w teatryku „Zelina”, raczej — w budzie drewnianej, zwanej „Pod lipką”.

Mali aktorzy zespół, dekoracje nędzne i garderoba mizerna do większego miasta jechać nam nie pozwoliły. Przedstawienia nasze urządzaliśmy w ostatnich miasteczkach, zazwyczaj w wynajętej szopie lub stajni, przy czym pobyt na miejscu przeciągał się do trzech — najwyżej — tygodni. Gdy przyszła zima, strach wspomnieć co się działo. Bieda aż piszczała! Lecz coż mieliśmy robić?

Każdy prawie dyrektor na owe czasy gaży aktorom nie płacił bądź też zalegał z nią z miesiąca na miesiąc, co na jedno wychodziło. Do takich należeli i J. Ch. Okonki, i Rusanowski, i Stobiński. Stało się niejako zwyczajem, że każdy z dyrektorów obcywał aktorom bajkoskie sumy, zawierzał z nimi kontrakt pod różnymi auspiciami, ale gdy ten po pewnym czasie upomniał się o pieniądze, lub — co gorsze — zaskarżył, to zanim sprawa trafiła do sądu, już sprytny dyrektor ulatniał się jak kamfora, biednego zaś aktora pozostawiając byle gdzie po drodze, pod gołym niebem, na bruku pierwszego lepszego miasteczka. Ze przy tym aktora uważano wówczas powszechnie za człowieka wykołonego, straconego dla społeczeństwa, nikt więc się za nim w takich ra-

zach nie ujął ani też się jego niedola nie przejmował poważnie. Jedyną deską ratunku wszędzie, a więc i w trupie Modzelewskiego brywał — beneficj. Beneficjant, klasyfikowany miłą sympatią, jaką sobie u publiczności zaszczybił, otrzymywał w końcu od dyrektora dochód z jednego przedstawienia sztuki, w której występował w popisowej swej roli. Trochę się w ten sposób „reperował” materialnie, ale ile też się musiał przy tym natrudzić! Przede wszystkim rozprzedając bilety była na jego głowie, nie wyłączając wszystkich zwleczanych z tym zabiegów i klopotów.

W takich razach Modzelewski — skoro świt — przywoływał do siebie aktora, uzupełniał braki w jego garderobie, miał do niego długą przemowę, w której wysławiał jego posłannictwo w służbie dla sztuki, po czym z uroczystą miną wręczał mu paczkę biletów i afiszów do rozprzedania — na los szczęścia — wśród p. t. publiczności. Do zwyczajów Modzelewskiego należało i to również, że w tak wyjątkowej dla aktora chwili dawał mu zawsze jakąś koleżankę, z którą — beneficj mieli oboje. Uprzecczało to w ogólności dyrektorskie zobowiązania, redukując przy tym i zyski aktora, dzieląc się bowiem musiał z przygodną swoją współżonką dochodem kasowym po równej polowie.

A jak wyglądała owa — w istocie — beneficisowa zebranka?

Pewnego razu, podczas ostrej zimy, gdy nikt już do teatru chodził nie chciał, Modzelewski dał mi beneficj z pewną starszą koleżanką. Miał być syczeń. Żydowskie śnieżki zajął z nami przed mieszkanie dyrektora. Modzelewski poczęstowała nas herbata. Modzelewski wypalił do nas uroczystą orację, poczem oboje siedliśmy w siankach — i jada!

Było to w Wieluniu. Sanna doskonala, humory wyborne, jechało się więc nam zrazu dość ochoczo. Moja koleżanka, wprawdzie nie młoda, jednak szczupła i wymalowana starannie, wyglądała jak świeżo odnowiona kamienica. Nie dość, że wyczerpiła sobie brwi i rzęsy, ale ozdobiła się — co nadto — mnóstwem pieprzyków i muszek. Mimo tej toalety „na wabiaka”, szło nam w ogólności fatalnie. Widać nie budziłyśmy zaufania. Jako para beneficjantów. Do południa sprzedaliśmy zaledwie kilka biletów. Zmarznięte nasze nosy położyły nam się wyciągnęły, a humor szybko rozwił się po drodze. Wszakże, niepowodzenie w sprzedaży biletów oznaczało brak sympatii publiczności, co pociągało za sobą także i nieładną koleżankę.

Na nieszczęście, gdyśmy ruszyli w okolice Wielunia, śnieg zaczął sypać. Koleżanka moja zsunęła woalę, lecz gdy ją niebawem rozmoczyły płatki śniegu, na jej twarzy z poprzyplepianych pieprzyków i muszek zrobiła się nagle jakaś geograficzna mapa.

— A umyję się pani! — zawołałem. — Gdzie zajdziemy, znów się nas przestraszą i nikt biletów nie kupi. Niechże pani da chusteczkę, to nabiorę śniegu!

— Ale gdzie tam jej było śniegu? Ale gdzie tam jej było śniegu? Ale gdzie tam jej było śniegu? Ale gdzie tam jej było śniegu?

ga. Wleczmy się więc dalej. Śnieg padać nie przestał.

Koleśka dobrze już robiła bokami, gdy nagle Moryc, woźnica, oświadczył nam zeloną z przerażenia, że pobłądził, zjechałszy z drogi. W istocie, śnieżna zadymka zabieliła świat cały przed naszymi oczami. Jechaliśmy odtąd na chybił-trafił. W pewnej chwili ujrzelśmy jakąś wieśkę w opłotkach, z której wystrzelała w górę wieża kościelna — mała, smukła, obielona śniegiem, podobna do kwiatka na zmarzniętej szybie.

Zbiegnęci i głodni, zastukaliśmy po godzinie jazdy do plebanii. Ciężko. Stukamy jeszcze mocniej. Po jakimś czasie odpowiedział nam wewnątrz szmer i zza drzwi wychyliła się postać starego księdza w wytartej sutannie.

— A czego to żądacie, ludzie? — zapytał.

— Z beneficjem przyjeżdżamy do księdza jęmości! — zawołałem, wyciągając z rękawa afisz.

Ksiądz nie dosłyszał, czy też nie zrozumiał tych słów dostatecznie, bo cofnął się w głąb sieni i drzwi otworzył szeroko. Korzystamy z tego i pakujemy się do środka. Tym razem wziął ksiądz z moich rąk afisz teatralny, obroczył go w palcach i zapytał:

— A cóż to za papier? Czy to prosba do chrustu?

— Nie, proszę księdza — rzekłem poważnie. — Jesteśmy aktorzy, z teatru, z Wielunia. To afisz o naszym beneficju.

— Jak to, z teatru? — ozwał się na to ksiądz, ściągając brwi groźnie. — Jak to i tu do mnie przychodzą z tym świństwem? Do starego proboszcza? Kto was tu przysłał? Czy aby nie naczelnik powiatu? Mówcie mi zaraz!

— Nie, nie, my tylko sami... od siebie... przyjechalśmy zaprosić księdza proboszcza... — Aktorzy u mnie? — zawołał. — A nie wyniesiecie mi się stąd zaraz! A wy brzydaki, a paskudziarze!

Tu odwrócił się do kąta, gdzie stała sekata laska. Rad nie rad, chwycił ją za kłamek, otwierając drzwi, a tu już ksiądz — z kijem! Nagle wiatr zawiął śniegiem w jego oczy. Przywrócił mo to widąc przytomność, bo zmieniając ton, krzyknął:

— Zamykać mi drzwi i zostawcie sieni! Trudno — rzekł po chwili — toć i Chrystus musiał wisieć na krzyżu pomiędzy lotrami, a przecież był Bogiem. Dziej się jako wola, skoro mnie już wami nawiedzi! Rozbierajcie się i chodźcie do izby. Na śnieg was przecie nie wyrzucę.

Choć zaproszenie brzmiało nie bardzo gościnnie i ksiądz ani na chwilę łaski nie wypuszczał, pomogłem koleżance zdjąć płaszcz, po czym własny też, otrzepawszy ze śniegu, powiesiłem na kołku. Tak weszliśmy do pokoju. Była to ciepła, miła jak wiosenny dzłonek izdebka. Zieleniło się w niej wiele kwiatów w doniczkach, a wśród

nich widniała kółka klątek z karnikami.

Ksiądz, krzepki starowina, był wciąż jeszcze zły i wzburzony, a widząc nas stojących około drzwi jak para rekrutów, powiedział szorstko:

— No, kiedy tak się już stało, żem was musiał przyjąć, niechże więc będzie — siadajcie przy stole.

Usiadłszy posłusznie. Staruszek dopiero teraz sięgnął do biurka po okulary, rozsiadł się w fotelu i począł odczytywać nasz afisz. Szluchaliśmy się przez ten czas z koleżanką, dając sobie znaki, by ktoś z nas pierwszy przemówił. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że im dłużej ksiądz nasz afisz czytał, tym mniej rozumiał. Poznaliśmy to po jego minie. Podniósł się wreszcie z fotela, przeszedł po pokoju, w końcu stanął przede mną i jął z politowaniem kiwać głową.

— Mój Boże — rzekł — takie to młode, a już duszę powiodło na zatracenie. Pewno tam ojciec i

— Oczywiście — wtrąciłem. — Na przykład ksiądz proboszcz z Wielunia już kupił bilet.

— Co? Ksawery kupił bilet? Także coś? No, proszę, proszę...

— O, i to w pierwszym rzędzie.

— W pierwszym rzędzie? A... a... za ile?

— Za półtora rubla.

— Aż za półtora! — zawołał. — Tyle pieniędzy, i to za jeden wieczór? To stanowczo za drogo! Hohol... Ksawerek to co innego! Nic dziwnego, on zawsze lubił uciechy. Taki sam był w seminarium.

Tymczasem weszła gospodyni, prosiąc proboszcza o kluczyki do spiżarni.

— A może pani dobrodziejka — zwrócił się on teraz do mojej koleżanki z uprzejmym zapytaniem — może pani zechce coś tam zrobić około siebie? Kazałem dać ciepłą wodę, bo to kobieta po podróży zawsze lubi się umyć, ogarać. Proszę, bardzo proszę, moja stara Katarzyna wskaże pani drogę.

Towarzyszka moja w sposób łaskawy skinęła głową i wyszła za gospodynią. Gdy zostaliśmy sami, ksiądz począł znów mnie rozpytywać o teatr, o sprawy życiowe, wreszcie ozwał się nagle:

— A czy ty, mój bracie, nie umiesz aby przypadkiem śpiewać?

— Oczywiście, że umiem. Na scenie często to potrzebne.

— To i pewno grać na czymś umiesz.

— Niestety — odrzekłem. — Te go już nie.

— Szkoda — rzekł na to — bo bym cię przyjął na organiste.

Udałem, że nie dosłyszałem. Tymczasem gospodyni przyniosła nam kawę i w pokoju zjawiała się moja koleżanka. O zgrozo, była na nowo wymalowana, tylko tym razem w całości na białe, bez muszek i pieprzyków. Ksiądz chwycił za okulary, spojrzął na nią z boku, po czym z uśmiechem rzekł:

— A to już widocznie taka delikatna cera u pani dobrodziejki. Proszę mi wybaczyć, że tego przedtem nie zauważyłem.

I przy kawie rozgadał się staruszek na dobre i moja koleżanka rozchmurzyła się całkiem. Tymczasem śnieg za oknem padał i padał.

— Wiesz co, mój chłopcze — rzekł wreszcie ksiądz do mnie — podobasz mi się. Pal cię szesć — dam ci miejsce organisty przy moim kościele! To nic, że grać na organach nie umiesz. Nie takta to sztuka. Jakoś cię tam stary mój niedolega, kościelny, nauczy. Bo widzisz — brak mi organisty. A uważaj sobie, oplaci ci się. Zawsze tam z tego będziesz miał dach nad głową zapewniony i uczyć cię kawałek chleba do samej śmierci.

— Co ci tam ten teatr — ciągnął — owe mamida i to udawanie, gdy cię nikt za to nie uszanuje i dobrym słowem nie opatrzy. Zabawia się tobą ludzie, bo zabawiają — prawda. Ale cóż z tego? Poza teatrem, to i znać ciebie nie zechcą. Tu przynajmniej będziesz mógł we wsł dźwieć uczuć i żyć cichotko, spokojnie, po bożemu. Naucz cię grać w mariasz i pensję jakąś taką ci dam. Coż — zgoda?

Tyle życzliwości, serdeczności i rozbijającej dobroci było w słowach poczciwego starowiny, że sponosowałem jak rak w ukropie nie wiedząc jak mu odmówić, by go nie urazić. Musiałem mu jednak w końcu zrobić tę przykrość. Nie obraził się, był co najwyżej — zdziwiony.

— Wiesz co — rzekł na ostatek naszej rozmowy — a jednak mnie zaciekawiliście. Pojadź zobaczyć ten wasz teatr, dalibóg — pojadź.

— To niech ksiądz proboszcz weźmie bilet.

— Posadzę.

— No, to daj bracie bilet, bo to — uważasz — we dwójkę zawsze mi z nim będzie różniej. Masz tu dwa ruble. A kiedy to owe przedstawienie będzie?

— Jutro.

— Przyjadę, jak mój Bóg miły, przyjadę! Niech się dzieje wola Boska! Zresztą — co wolno Ksawerkowi, to wolno i mnie, bom także proboszcz.

I przyjechał w istocie na nasz beneficj i siedział — jak sobie życzył — ze swoim Ksawerkiem w pierwszym rzędzie krzesel. Widziałem, jak się rozgrzewał każdym słowem padającym ze sceny i jak mocno bil okłaski. A gdy zapadła kurtyna, przyszedł staruszek po przedstawieniu do mnie za kulisy, ścisnął mnie serdecznie, gratulował, a na pożegnanie — pobłogosławił.

Co mówiąc, wyszedł. Dumny z siebie, począł śmiało stawić kroki po pokoju, smak kawy czu-



O ANGAŻOWANIU KATOLICKIEGO AUTORYTETU

(Dokończenie ze str 4)

rodzaju, to, jako świadomemu katolicy, w żadnym wypadku nie mamy prawa się na nie godzić ani chcieć do nich powracać.

Jeśli pierwsza część zarzutów odnosiła się do zagadnienia, czy w ogóle autorytet katolicki może być angażowany w dziedzinie społecznej, o tyle obecnie rozpatrujemy drugą część omawianych zarzutów — mianowicie jak w o l n o a n g a ż o w a ć ten autorytet?

Przed ruchem społecznie postępowym stoją tu do rozwiązania zagadnienia nieraz bardzo trudne. Nowa epoka stawia je w nowy sposób i potrzeba tu całej mądrości teologów, filozofów, ekleziologów katolickich, by nie nie zagubić z założenia, obowiązujących w Kościele.

Stwierdzamy jednak, od razu na wstępie, że sytuacja formalna Kościoła Katolickiego w świecie budującym socjalizm ma na pewno tę zasługę, że stawia sprawę jasno. Rząd Kościoła od państwa jest prawem powszechnie obowiązującym. Jeśli rozważane to stwarza katolikom szereg istotnych problemów dotyczących panowania zasad chrześcijańskich w życiu publicznym, to z drugiej strony ucina radykalnie wszelkie tendencje do identyfikowania, a więc i postugiwania się bezpośrednio autorytetem religii w życiu państwowym.

Tak jak w Polsce Ludowej nie zachodzi możliwość, znana nam z historii Kościoła, by duchowieństwo nadużywało swego wpływu na władzę państwową, tak z drugiej strony w żadnym razie to duchowieństwo nie będzie powołane do roli oparcia politycznego dla aparatu rządowego, tak jak to miało miejsce na przykład we Włoszech podczas ostatnich wyborów. Zasada u-

strojowa Polski Ludowej wyklucza takie ewentualności.

Jakie przeto rysują się przed nami, możliwości angażowania autorytetu katolickiego w życiu społecznym? Wydaje się, że trzeba tu wysunąć dwie zasady, które powinny określać postulat katolickiego ruchu społecznie postępowego w stosunku do zagadnienia angażowania autorytetu katolickiego w sposób bardziej wiążący, niż przez indywidualne wystąpienia poszczególnych katolików.

Pierwszą zasadą jest konieczność bronięcia interesów Kościoła angażowanego w sposób faktyczny jednostronnie przez propagandę światła kapitalistycznego. W tej sytuacji dobro Kościoła wymaga, by były stwarzane fakty dowodzące co najmniej, że autorytet katolicki nie jest w tej rozgrywce angażowany jednostronnie, że katolicy, którzy rozumieją wartości, jakie niesie ze sobą świat katolicki mają równe prawo głośnego wyrażania swego zadania w tej sprawie. To jest, trzeba stwierdzić, postulat minimalistyczny.

Druga zasada brzmi: autorytet katolicki nie jest angażowany bezpośrednio w obronie ani na rzecz ustroju ludowego. Ustrój ludowy tego nie wymaga. Autorytet katolicki angażowany jest w obronie pewnych ogólnoludzkich, czy ogólnonarodowych wartości, które się realizują właśnie w naszym świecie. Gdy katolicy społecznie postępowi występują przeciw wojnie i środkom masowej zagłady, to wiedzą dobrze, że krzyżują tym plany wojenne amerykańskiego imperializmu. Jakkolwiek tego samego postulat broni dyplomacja Kościoła i krajów demokracji ludowej, to jednak głos biskupa w tej sprawie nie jest na usługach tej dyplomacji, gdyż sprawa sama przez się zasługuje na interwencję, niezależnie od

rozwoju polityki międzynarodowej. Natomiast gdy autorytet katolicki wypowiada się za armią europejską, za koncepcją „europejskiej wspólnoty”, to nie bronią zasady pokojowego współżycia, czy bezpieczeństwa narodów europejskich, lecz bronią określonej koncepcji politycznej, na usługach określonych celów polityki amerykańskiej.

Gdy duchowieństwo polskie udziela swego poparcia dla akcji gospodarczych, podnoszących dobrobyt ludności, lub broni praw narodowych do Ziem Zachodnich, to w jednym i drugim wypadku motywem takich inicjatyw jest względ na dobro własnego narodu, a nie na interes władzy państwowej. Jest sprawą zupełnie wstorną czy inicjatywa wychodzi z danym wypadku oddolnie, to znaczy ze środowisk katolickich, czy ogólnie, to znaczy od jakichś ogólnonarodowych czynników politycznych. Jest w naszym interesie, by było jak najmniejszą inicjatywę katolicką na tym odcinku. Nie mamy jednak żadnej racji do odrzucania propozycji angażowania w służną sprawę autorytetu katolickiego, jeśli inicjatywa wychodzi bądź to od jakiejś instancji międzynarodowej, jak to miało miejsce w wypadku Apelu Sztokholmskiego, lub od Frontu Narodowego, gdy chodzi o kluczowe problemy wewnętrzne.

*

DEAKCYJNE koła katolickie na Zachodzie chętnie podejmują krytykę założeń katolickiego ruchu społecznie postępowego od tej właśnie strony, twierdząc, iż jest on narzędem państwa ludowego, dąży do podporządkowania Kościoła Katolickiego w Polsce władzy państwowej.

Z punktu widzenia zasad państwowych i własnych zasad tego ruchu jest to oczywisty nonsens. Po-

zostaje jednak fakt, że szereg wypowiedzi i aktów własnie strony katolickiej wzmacnia autorytet czy służy konkretnym interesom państwa ludowego. Wcale nas to nie dziwi, iż fakt ten drażni reakcyjne koła na Zachodzie, czy nawet u nas w kraju. Nie na to nie możemy poradzić, gdyż, te właśnie, bardzo liczne zbieżności dowodzą, iż ilość ogólnoludzkich i ogólnonarodowych wartości, wspólnych dla katolików i nie katolików, w obzbie budującym socjalizm wzrasta z roku na rok.

Gdyby się znalazł katolik, który by śmiał twierdzić, iż nie wolno katolikom tych wartości bronić, gdyż bronią ich również ludzie o innej postawie światopoglądowej — świadczyłoby to, jak najgorzej o jego postawie moralnej.

Nasze rozważania w sposób konieczny musi zamknąć też jeden wniosek dość istotny, który chcielibyśmy przekazać naszym krytykom zarówno tym, którzy wykazują chęć ucziwego podejścia do sprawy, jak i tym, którzy tylko notorycznie operują się na nieuczciwych metodach polemiki.

Jakkolwiek katolicy społecznie postępowi, czujni, by ich postawa była zgodna z nauką Kościoła, przyjmą zawsze dyskusję na płaszczyźnie formalnych zasad, obowiązujących wszystkich katolików, to jednak uważają za swój obowiązek przestrzeż przed próbami zastąpienia się pusto brzmiącymi formułkami. Życia katolickiego w nowej epoce nie opieramy na formułkach, choćby nawet wymyślonych przez najtępszych intelektualistów. Zycie rozsądza wszelkie formułki. Życie katolickie oprócz moimety tylko na pełnej wierności Kościołowi, którego cele będziemy realizować przy pełnym zrozumieniu nowego oblicza, jakie ludzkości nadaje właśnie nasza epoka.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

NA ZBOCZACH „CZARODZIEJSKIEJ GÓRY”

JEST coś niezwykłego w kolejach losu, jakie osiadało przeszła „Czarodziejska Góra” Tomasza Manna pod różnymi szerokościami geograficznymi — w Stanach Zjednoczonych i w Polsce. Podczas, gdy za Atlantykiem wstawiono te książki na indeks dzieł niebezpiecznych i wyrotowych (sic!), w Polsce dobiegają końca sumienne i drobiazgowo prace nad jej wznowieniem. Wkrótce też ukazała się ona w dużym nakładzie, w starannym przekładzie po raz pierwszy oddającym w języku polskim jej piękno.

Paradoks wiele dający do myślenia. Nie wystarczy skwitowaniem oczywistym skądinąd stwierdzeniem głupoty i barbarzyństwa przywódców amerykańskich, których przerażającym symbolem stał się Mac Carthy. Nasuwają się i inne refleksje bardziej ogólnej natury.

Cokolwiek można by powiedzieć o Mannie, w jakim pisarzu burżuazji — nie podobna zaprzeczyć, że ze swą klasą zespolony jest nie tylko głęboką o niej wiedzą ale również przywiązaniem i miłością. Miłością tragiczną — bo wielki artysta widząc błędy i grzechy przedmiotu swej miłości nie może się go wyrzec, ale równocześnie wie, że nie zdola go przeksztalić i ocalić.

I ta tragiczna miłość jest kamieniem obrazy, jej własnie wojnie ścierpieć ci, którzy pragną ocalić mit burżuazji. Bo temu mitowi, czasem i ci, którzy pragnęli go porzucić i pokochać, są również niebezpieczni, bo bezwiednie stają się demaskatorami. Pełne ukłowości i niemyłej prawdy pamiętniki kochanka znanej kobiety wywołują skandal nie dlatego, że piętnują jej obraz, ale właśnie dlatego, że są prawdziwe i podktywane miłością.

Nie usiłujemy bynajmniej zaliczyć „Czarodziejskiej Góry” do książek stanowiących „chronique scandaleuse” burżuazji.

Pragnęlibyśmy tylko podkreślić walor świadectwa Manna. Jest to zeznanie kogoś — kogo nie można pościć o stronniczość, a kto jest najlepiej poinformowany. Mówiąc jego słowami, które odnoszą się tak samo do samego pisarza jak i do Hansa Castorpa: „bohater nasz dojrzał i stał się zdolny do krytyki swego umiowanego świata i jego symbolu skądinąd tak godnego podziwu — a krytyka ta postawiła pod znakiem zapytania cały ten świat, jego symbol i miłość do niego”.

Warto zastanowić się nad tym zwątpieniem i wyciągnąć naukę, jaka płynie z tej gorzkiej, wątpliwej miłości.

Gdy po wielu latach odczytałem powtórnie „Czarodziejską górę”, stanął mi przed oczyma obraz mierniczego, który pragnął określić położenie trudno dostępnego punktu, czyni pomiar z dwóch różnych stanowisk, buduje trójkąt i na podstawie posiadanych liczb oblicza wszystkie niewiadome.

W dziedzinie humanistyki i obserwacji zjawisk społecznych również znajduje zastosowanie swojego rodzaju trygonometria. Wprawdzie ów punkt obserwacyjny (w tym wypadku „Czarodziejska Góra”) nie jest punktem trudno dostępnym, jest jednak bardzo skomplikowanym i bogatym obiektem obserwacji. Konfrontacja zatem dwu spojzeń i dwu punktów widzenia oraz weryfikacja niegdys doznanych wrażeń i poczynańch refleksji jest szczególnie interesująca w stosunku do tak niezwykłej książki jak „Czarodziejska Góra”.

Nie jest jednak moim zamiarem w uwagach tych pograć się w analizę literacką, nie chcąc obserwować „Czarodziejskiej Góry” z różnych punktów widzenia, zmieniających się wraz z płynącym naprzód czasem. Zamierzam coś wręcz przeciwnego, chcę mianowicie, operując za punkt wyjścia książkę Manna, spojrzeć na ów świat czasu, który ubiegł od początku dzieł Hansa Castorpa. Już prawie pół wieku dzieł nas od tej chwili. Te pół wieku dzieł Europy każdy z nas chce nie chcąc w jakiejś mierze nosi w sobie; musi je przeżywać jeśli nie chce pozostać poza biegiem historii; nie może wszakże ich całkowicie przekreślić czy odrzucić.

Zapewne dziś lepiej niż kiedykolwiek wiemy jak fałszywa i absurdalna była ta sielankowa i statyczna wersja historii, która podawała do wierzzenia ideologia mieszczańska, wiemy, że wszystko, co nowe, rodzi się w bólu, w walce. Równocześnie jednak właśnie dlatego, że znamy tę wielką cenę historycznego rozwoju, z większym niż przedtem pietunem pochylamy się nad wartościami przeszłości, by nic cennego z nich nie uronić.

Droga nam jest Europa w swej psuki poznawczej, w swym wiecznym szukaniu, w wartkim tempie społecznych procesów gwarantujących nieustanny rozwój człowieka i otwierających przed nim ciągle nowe horyzonty.

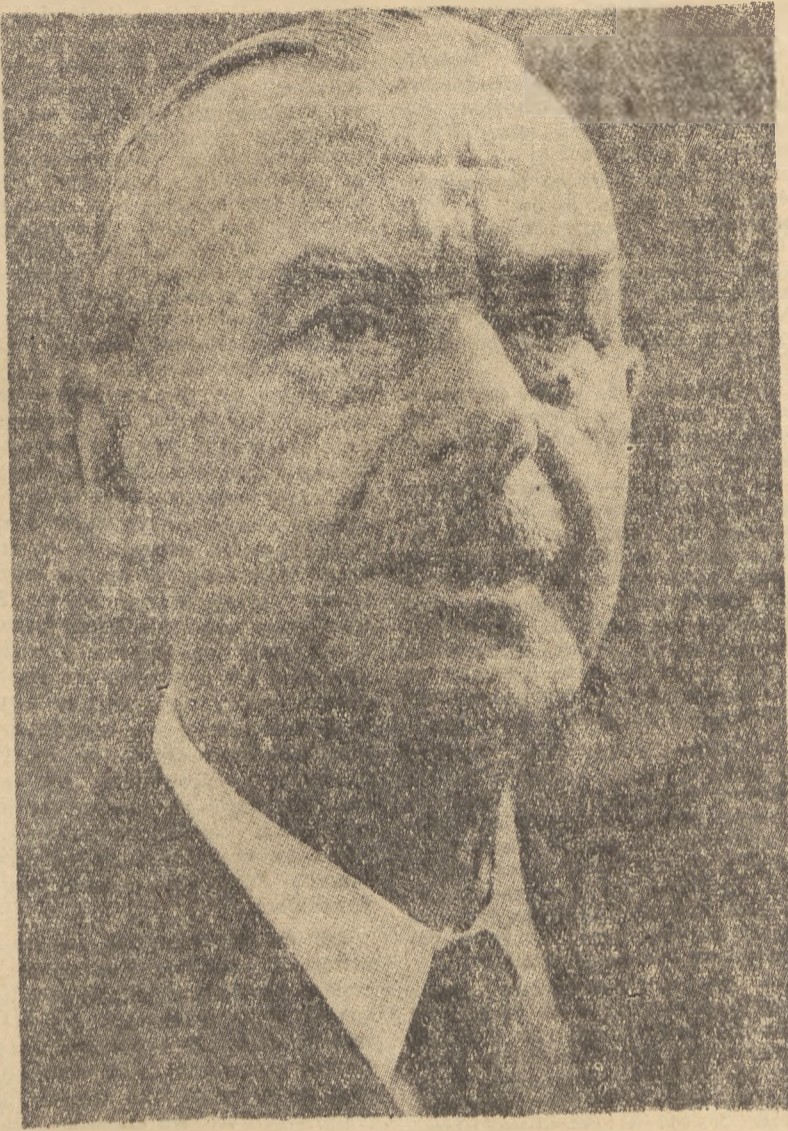
Tymczasem dziś ci, co najbardziej hulaśliwie szermują hasłem „obuny Europy” w imię jej rzekomego ocalenia godzą właśnie w wysiłek myślenia, w podstawy rozwoju społecznego. Inaczej mówiąc usiłują zabić w niej to, co młode, żywotne i wibracje po to, by zachować ją spetryfikowaną i zamarną w bezruchu.

„Czarodziejska Góra” jest jedną z tych książek, które szczególnie wyraźnie ukazują niebezpieczeństwa jakie już nie po raz pierwszy rodzą się w Europie XX wieku, niebezpieczeństwa, które godzą w najcenniejsze wartości tradycji europejskiej,

Pamiętam dokładnie uczucia z jakim przed kilkunastu laty zamykałem „Czarodziejską Górę”. Hitler dokonywał właśnie pierwszych podbojów. I właśnie wtedy rozstawałem się po raz pierwszy z Hansem Castorpem pozostawiając go oszalonego, wyzbytego uczuć ludzkich, włączonego bez reszty w bezbarwną chmurę ludzką idącą do natarcia. Gdzie podziął się ów sceptyczny młodzieniec gubiący się w całkowicie nieraz bezpłodnych dociekaniach, bezskutecznie wążący pro i contra zawiłych spraw świata? Czy wie

wą właściwością natury ludzkiej. Ale owa potrzeba stając w jaskrawej sprzeczności z materialnymi podstawami stosunków między ludźmi musi przeciw mieszczańskiemu strukturze się obrócić, albo uciec w sferę utopii czy pustej fałszywej retoryki.

Po wielu latach dzielących nas od momentu powstania „Czarodziejskiej Góry” coraz wyraźniej widzimy trafność diagnozy Manna — widzimy, że hamletowskie pytanie zamykające książkę kryje w sobie wyrok na świat mieszczański.



Tomasz Mann

dokąd zmierza, co zdobywa? Skądże! Pocisk strzaskął napotkany na linii natarcia drogowoskazy i ani nasz bohater ani żaden z jego młodych towarzyszy nie wie co zdobywa, wraz z nimi i my — nie wiemy czy pułk Hansa Castorpa wyruszył na podbój Wschodu czy Zachodu. Jedynym drogowoskazem jest wola dowódcy.

Ow obraz nie jest tylko realistycznym opisem wojny wyrażającym prawdę, że na wojnie świadome pobuiki moralne walczących zawsze usępują miejsca bardziej lub mniej zmechanizowanym odruchom. Jest w tym obrazie coś więcej. Czujemy, że w tym obrazie coś więcej. Czujemy, że w tym obrazie coś więcej. Czujemy, że w tym obrazie coś więcej.

Ostatnim zdaniem „Czarodziejskiej Góry”, zdaniem zamykającym również wspomniany tu opis wojny — jest pytanie czy z tych śmiertelnych zapasów zrodzi się kiedyś miłość.

Pytanie decydujące. Hamletowskie „być albo nie być” tamtego świata nie dotyczy bynajmniej jedynie wojny, ale całej przyszłości mieszczańskiego porządku. Iam bowiem gdzie wygasa miłość — zrodzi wszelkich wartości, siła napędowa twórczości i postępu — tam prędzej czy później musi wygasnąć życie. Być może wówczas, gdy miałem posławić do swoje pytanie, mógł czytelnicy tuż obok siebie do odpowiedzi. Dziś jednak trudno, aby ktoś mający oczy otwarte żył najbliższą wątpliwość. Gdzie cała struktura życia wspiera się na egoizmie, kupieckim prawie zysku i prawie silniejszego — na miłość w zasadzie nie ma miejsca. Jeśli nawet niekiedy triumfuje, jeśli istnieje, to niejako na marginesie i wbrew podstawom struktury życia zbiorowego. Już prędzej mądrość może przerzucić się przez gąszcz ogólnego egoizmu, ale miłość musi w tym gąszczu zaoiakać się i zwiędnąć.

W „Czarodziejskiej Górze” nie mamy okazji gruntownie obserwować działania tego mechanizmu zabijającego ludzkie pasje i uczucia, widzimy raczej skutki jego długotrwałego funkcjonowania. Niewątpliwie bowiem Hans Castorp nie jest rzecznikiem tego mechanizmu, jest jego ofiarą i stał sympatią, którą go obdarzamy.

Zycie naszego bohatera (tak jak i jego poprzedników) upłynęło w sferze wyjątkowego wpływu otaczającej go rzeczywistości społecznej. Wpływ ten sprawił, że znikła u niego zdolność kochania, tak jak w rozwoju biologicznym gatunku zanikały organy, które przestały być potrzebne. Nawet wówczas, gdy ku uczuciu pcha naszego bohatera jego cała natura — nawet wówczas okazuje się niezdolny do miłości i ucieka od niej w sferę marzytelnych rojeń oddalających go od świata i od przedmiotu tej domniemanej miłości.

To samo dzieje się w skali szerzej niż indywidualnej. Powstała miłość, potrzeba świadectwa na rzecz innych ludzi istnieje, bo jakże miałyby zniknąć, skoro jest podstawową

właściwością natury ludzkiej. Ale owa potrzeba stając w jaskrawej sprzeczności z materialnymi podstawami stosunków między ludźmi musi przeciw mieszczańskiemu strukturze się obrócić, albo uciec w sferę utopii czy pustej fałszywej retoryki.

Po wielu latach dzielących nas od momentu powstania „Czarodziejskiej Góry” coraz wyraźniej widzimy trafność diagnozy Manna — widzimy, że hamletowskie pytanie zamykające książkę kryje w sobie wyrok na świat mieszczański.

podręcznikowe odniesienie do wszystkich niemal wewnątrz — mieszczańskich konfliktów politycznych ostatnich dziesięcioleci lat, co więcej; czujemy w nim także oddźwięk odwiecznej walki postawy optymistycznej, skłonnej zautać życiu i rozwojowi z postawą negacji i pesymizmu, której jedynym argumentem jest brutalna siła.

Analizę poglądów i całej postawy Leona Naphty warto by poświęcić szczegółowe studium, które wykazałoby niewątpliwie imponującą przenikliwość autora „Czarodziejskiej Góry” i trafność ostrzeżeń sformułowanych jeszcze przed ujawnieniem się na zewnątrz zbrodniczych sił nienawiści przed wojną. Hitlerizm jednak nie miał swych źródeł w pośredniej nawet inspiracji chrześcijańskiej czy pseudo-chrześcijańskich ideałów i bezstronny czytelnik mógł żywić do autora pretensje, że kazal właśnie „wojującemu” katolikowi reprezentować ideologię siły.

I co charakterystyczne i szczególnie chlubne dla Tomasza Manna, to fakt, że jego ostrzeżenia z biegiem czasu nie tylko nie tracą ale odwrotnie, zyskują na aktualności. Kilkaście lat temu każdy, kto czytał złowieszcze tryady Naphty, miał o czytać przed oczyma wzbierającą falę hitlerowskiej nienawiści. Hitlerizm jednak nie miał swych źródeł w pośredniej nawet inspiracji chrześcijańskiej czy pseudo-chrześcijańskich ideałów i bezstronny czytelnik mógł żywić do autora pretensje, że kazal właśnie „wojującemu” katolikowi reprezentować ideologię siły.

Niestety, dziś po drugiej wojnie historia aż nazbyt boleśnie zweryfikowała postać Naphty. Można by wręcz powiedzieć, że przyniosła mu pośmiertne zwycięstwo.

Niewątpliwie jego współczesne wcielenia są mniej demoniczne, ale w ich intelektualnej a także moralnej postawie odkrywamy te same zasadnicze cechy. Przede wszystkim niechęć do rzeczywistości wyrażająca się już to w teoretycznym aprioryzmu, w posługiwaniu się oderwanymi sofistykami, już to w praktycznym odczuciu rzeczywistości takiej jaką ona jest, a przyjęciu swoich pragnień czy subiektywnych wyobrażeń za prawdziwy obraz tej rzeczywistości. Wówczas każde działanie staje się działaniem przeciwko rzeczywistości i musi uciekać do siły. Jest w wielkiej skali historycznej daremne, ale w mikrohistorycznej skali współczesności niebezpieczne i groźne.

Takie ujęcie rozszerza zakres zjawisk, które symbolizuje Naphta, i rozciąga je poza jawne faszyzowskie ruchy. Ale czyż zmienia istotę rzeczy i historyczny sens ustaloj fakt, że tylko w stosunku do kolonii lub w stosunku do klas upośledzonych stosuje on faszyzowskie metody, gdy wbrew pozorom na nich naprawdę się opiera?

Rzecz jasna łatwo dowiedzieć, że zarówno Naphta jak i dzisiejsi organizatorzy fizycznej siły chrześcijańskiego świata są w wielu wypadkach wręcz zaprzeczeniem chrześcijańskiego ducha, mimo że na niego tak chętnie się powołują. To jednak łatwe stwierdzenie nie przekreśla

bynajmniej faktu, że w praktyce w różnych krajach i różnych okolicznościach właśnie katolicy okazali szczególną skłonność do czynnego popierania faszyzowskich ruchów. Fakty te są zbyt powszechnie znane, aby należało je cytować.

Są jednak równocześnie zbyt liczne, aby można było je uważać za zbieg okoliczności. Domagają się wręcz analizy, bo milczenie wobec tak powszechnego zjawiska byłoby dowodem na twórczej kapitulacji. Generalnie to zjawisko tłumaczy fakt wrońnięcia chrześcijaństwa w strukturę mieszczańskiego świata. Nie przynosi to jednak zadowalającego wytłumaczenia owej szczególnej skłonności, jaką objawiają właśnie katolicy dla faszyzmu i form mu pokrewnych.

Wydaje się jasne, że mamy tu do czynienia z jakimś podstawowym, choć, jak wykazuje jego rozpoznanie, trudnym do wykrycia swojego rodzaju „grzechem przeciwko naturze”, ściślej mówiąc jest to grzech przeciwko kulturze i historii. Grzech polegający na chęci zanegowania prawa następstwa i rozwoju.

I właśnie u katolików, którzy przez całą historię nowożytną niemal nieustannie stawiali się w pozycji negującej postęp, wyrobiło się w ciągu wieków przekonanie, że dokonywane się procesy rozwojowe zagrożają wierze, trzeba zatem się im sprzeciwić.

W istocie natomiast owa negacja postępu ustawicznie zagraża wierze religijnej, bo pozostawia jej wznawców poza głównym nurtem historii, utrudniając ich apostolskie oddziaływanie.

Powróćmy jednak do sporu Septembrini — Naphta. Przy całej sympatii, jaką wraz z Mannem żywymy dla sympatycznego Włocha, niepodobna uwolnić go od poważnych zarzutów, choć ich waga jest całkowicie inna od tych jakie stawiamy złośliwemu bohaterowi, książka której założenie i sziafarz celowo nie pozwalają zewnętrznemu życiu wtrącać do laboratorium poznawczej pracy pisarza, książka wreszcie której osnową są wielkie, odwieczne problemy metafizyczne.

Antynomia to raczej formalna niż merytoryczna. Bo przecież niepodobna inaczej jak poprzez świadomość poszczególnych ludzi dotrzeć do istoty procesów i zjawisk społecznych. Idzie tylko o to, by ci ludzie byli typowi, a tego nie można odmówić ani Hansowi Castorpowi ani jego „mentorowi” i towarzyszący niedoli. To prawda, że pozostawiliśmy na uboczu wiele spraw decydujących o pięknie „Czarodziejskiej Góry”. Ale takie już było założenie tego szkicu, że zajmie się on przede wszystkim wyrażoną w tej książce prawdą o określonej klasie w określonej epoce,

CZESŁAW CZAPÓW (JERZY CZAPIŃSKI)

TRAGICZNY „CUD” AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

PRZEDSTAWICIELE ośrodków politycznych reprezentujących ideę trwania formacji kapitalistycznej coraz częściej deklarują swój pozytywny stosunek do katolicyzmu. obrońcy kapitalizmu w walkach ideologicznych z obozem socjalizmu coraz częściej powołują się na katolicki światopogląd. A jednak stwierdzić trzeba, że kapitalizm współczesny jest śmiertelnym wrogiem katolicyzmu.

Wpływ imperialistycznego kapitalizmu zawsze i w skali masowej demoralizuje człowieka intelektualnie i moralnie. Imperialistyczny kapitalizm narzuca przeciw człowiekowi światopogląd, który często mimo frazeologii katolickiej, jest z gruntu niekatolicki. Światopogląd wytworzony przez kapitalizm współczesny kształtuje egoizm i skrajny irracjonalizm lub nieludzki technokratyzm, kult pieniądza i siły oraz poznawczą postawę całkowicie obcą optymizmowi autentycznego realizmu.

Sytuacja w krajach Ameryki łacińskiej, tak pozornie ultrakatolickiej, jest bodaj najlepszym potwierdzeniem tezy o niszczącym Kościół wpływie kapitalizmu. Nie było w krajach Ameryki Południowej ani reformacji, nie rozprzerstrzenił się protestantyzm, nie było tam wymagającej od ludzi Kościoła pracowitej przemyśleń rewolucji demokratycznej — burżuazyjnej, nie zdążył się tam jeszcze rozwinąć marksizm. Ogólną większość ludności stanowią ludzie nazywający się katolikami. Na 400 milionów katolików, zamieszkujących cały świat, 148 milionów żyje w Ameryce łacińskiej, co stanowi 37 proc. A jednak katolicyzm Ameryki Południowej przeżywa groźny i narastający z dniem każdym kryzys. Wyraża się on w dwójaki sposób. Po pierwsze obserwujemy zmniejszający się ilościowo i pogarszający się jakościowo stan powołań kapłańskich. Po drugie z każdym dniem obniża się poziom świadomości religijnej przeciętnej katolika Ameryki Południowej.

Na 380 tysięcy księży katolickich rozroczonych po całym świecie tylko 30 tysięcy pracuje w krajach Ameryki Południowej. Sta-

nowi to niecałe 9 proc. A przecież w grę wchodzi kraje o ludności prawie w 100 proc. katolickiej tj. deklarującej swoją przynależność do Kościoła Katolickiego, a stanowiącej 37 proc. wszystkich katolików świata. W Belgii jeden ksiądz przypada na 520 wierzniych, w Ameryce łacińskiej jeden ksiądz musi obsłużyć przeszło 5 tys. wiernych.

O jakości powołań kapłańskich typowych dla Ameryki łacińskiej bardzo wiele mówi terytorialnie rozmięszczenie kleru. Mimo powszechnie znanej ważności pracy kapłańskiej na terenie wiejskich krajów południowo — amerykańskich, kler Ameryki łacińskiej jest przede wszystkim klerem miejskim, a olbrzymie obszary pozostają w całkowitym opuszczeniu. I tak np. prawie jedna czwarta księży argentyńskich mieszka w Buenos Aires, a w większości diecezji księży są zgromadzeni w siedzibie biskupstwa. Pociąga to za sobą fakt, że niespełna 2000 księży musi obsłużyć około 14 milionów wiernych rozszaniach na przestrzeni prawie 9 razy większej niż obszar współczesnej Polski.

Próbując zaradzić rozpaczelivej sytuacji — Papież w liście z dnia 24 października 1951 r., skierowanym do biskupów włoskich, proponuje, aby w najbogatych w powołania diecezjach europejskich przygłowywać kadry księży specjalnie przeznaczonych dla krajów Ameryki łacińskiej. Wytwarza się więc przedziwiny stan rzeczy, w którym kraje, formalnie i w początku zamieszkujejącej je ludności, katolickie stają się krajami misyjnymi.

Obserwując życie intelektualnej i politycznej elity państw Ameryki Południowej łatwo dostrzegamy, jak ogromna przepaść istnieje między klimatem ideowym tam panującym a duchem prawdziwego katolicyzmu. Nie więc dziwnego, że w sytuacji, w której istnieje lepsze drogi życiowej kariery niż droga kapłana, namy do czynienia z kompletnym brakiem powołań kapłańskich, że zaś nieliczne są prawdziwie podktywane motywacją wcale nie religijną. Nie lepiej zresztą przedstawia się sytuacja wśród

mas ludowych, które po prostu nie znają autentycznego katolicyzmu.

MASY ludowe Ameryki łacińskiej z dniami każdym coraz bardziej oddalają się od katolicyzmu. Coraz więcej ludzi przyjmuje światopogląd całkowicie niezgodny z prawdą i praktyką religii katolickiej. Decydującym jest tu brak rozróżnienia sakramentów i kierownictwa kapłańskiego. Niemalą rolę odgrywa także niski stan oświaty, atmosfera stałej, antagonizyjnej, niszczącej moralnie walki o byt. Wszystko to sprzeczne z katolicyzmem południowo — amerykańskim niemalże do rangi przesady, a jego praktyki religijne pozostawia wszelkiego duchowania i głębi.

Na takim podłożu społecznym zastraszającą szerzy się spirytyzm, często w niezwykle prymitywnym, wręcz pogańskim wydaniu. W takiej np. Brazylii spirytyzm przenika w gruncie rzeczy prawie do wszystkich środowisk religijnych, a nawet kusi się o własną organizację religijną. W Kolumbii, gdzie wielu jest protestantów, konflikt między katolicyzmem a protestantyzmem sprawia czasem wrażenie jakichś doktrynalnych nieporozumień między spirytystami. Wpływ spirytyzmu degraduje tradycyjne praktyki religijne do jakichś magicznych lub pseudonaukowych zabiegów demoralizujących umysł człowieka. Wypierając religię i ogarniając tych wszystkich, którzy pragną pociechy religijnej i nie znajdują jej, spirytyzm owocnie korzysta z braku oświaty i z pomocy amerykańskich towarzyszy metafizycznych.

Wszyscy, którzy choć trochę znają stosunki religijne, panujące w Ameryce łacińskiej, zgodnie przyznają, iż ogromna większość katolików tego kontynentu „rozwiązanie zagadnienia nieśmiertelności człowieka w sposób zdecydowanie sprzeczny z ortodoksyjną nauką Kościoła. To samo dotyczy poglądów na modlitwę, która bardzo często występuje po prostu jako zabieg magiczny, mający ujarzmić oporną rzeczywistość. Podkreślić wypada, że tym akatolickim poglądom i praktykom holdują przeważnie ludzie zupełnie nie zdający so-

wić. Bo wielbiona przez niego „ortogastyczna” wolność kryje w sobie rzeczywiste zaprzeczenie samej siebie. Jest w praktyce, w społeczeństwie burżuazyjnym, wolnością wybranych zwróconą przeciwko wolności upośledzonych.

Jeśli tego wielkiego pojęcia nie zwiążą się z czasem i z konkretnymi procesami społecznymi, pozabawi się go całkowicie treści. Czyż dziś burżuazja dążąc do utwierdzenia swej ambicji władczej nie występuje właśnie „w imię wolności”?

Książka, która mimo ubiegłych lat i wielu tragicznych i doniosłych wydarzeń historycznych, tak przenikliwie uczy patrzeć na współczesne zjawiska — taka książka zasługuje naprawdę na miano czarodziejskiej. Myśli, które dziś prowokuje, odbiegają niejednokrotnie daleko od tych, które ją zrodziły. Czy jednak nie spełniewierzący się autorowi i jego dziełu, gdy te myśli snujemy coraz dalej i łączymy je z aktualnymi sprawami? Na pewno nie. Taki jest los artysty i taka jego chluba, że prawda artystyczna, którą wyraża, przetrwała jego zamiary. Przetrwała nie tylko w czasie poprzez życie dzieła po jego śmierci. Przetrwała często także swą treścią. Nie w tym sensie, aby akt twórcy był nieswiadomy, irracjonalny, ale dlatego że zawiera uogólnienia, które wykraczają poza konkretne doświadczenia twórcy, poza realia dzieła sztuki. Wielcy artyści przemawiają z równą siłą i skutecznością do pokoleń, które żyją całe wieki po nich.

W tych rozważaniach istotnie odbiegliśmy daleko od punktu wyjścia. Z jednej strony rozważania polityczne o okresie schyłku mieszczaństwa, z drugiej strony „hermetyczna” książka o duchowych przygodach izolowanego od życia społecznego bohatera, książka której założenie i sziafarz celowo nie pozwalają zewnętrznemu życiu wtrącać do laboratorium poznawczej pracy pisarza, książka wreszcie której osnową są wielkie, odwieczne problemy metafizyczne.

Antynomia to raczej formalna niż merytoryczna. Bo przecież niepodobna inaczej jak poprzez świadomość poszczególnych ludzi dotrzeć do istoty procesów i zjawisk społecznych. Idzie tylko o to, by ci ludzie byli typowi, a tego nie można odmówić ani Hansowi Castorpowi ani jego „mentorowi” i towarzyszący niedoli. To prawda, że pozostawiliśmy na uboczu wiele spraw decydujących o pięknie „Czarodziejskiej Góry”. Ale takie już było założenie tego szkicu, że zajmie się on przede wszystkim wyrażoną w tej książce prawdą o określonej klasie w określonej epoce,

Wywiad z Wojciechem Żukrowskim

DZWONIE. Ustaje klekot maszyny do pisania, drzwi otwiera mi sam Wojciech Żukrowski. Wyjaśniam cel mojej wizyty, za chwilę oglądam już „trofea“ wietnamskie. Więc osobliwy helm tropikalny pleciony z cienkich bambusowych pacyzków, w którym Żukrowski wędrował przez dżunglę; więc przeciwsłoneczne kapelusze-parasole — większe niż blat kawiarnianego stołka — używane przez ludność do robót polnych... Sporo przemitych drobiazgów urzekających oryginalnością — nie śmiem jednak pytać o szczegóły, bo wiem, jak szalenie jest Żukrowski zapracowany. Staram się szybko wybrać fotografie; chociaż mam ich w ręku blisko set-

środkami zniszczenia, które stosują imperialiści próbując ludność zastraszyć i zmusić ją do kapitulacji. Militarne zwycięstwa Wietnamu przybliżają zwycięstwo, ale droga jest jeszcze długa, cierpienia ludności ogromne. Amerykanie wtrącają się do tej „prywatnej francuskiej wojny“, odwiekając jej zakończenie. Myślę, że wiele mogliśmybyśmy dopomóc Wietnamczykom mobilizując świadomość w naszym narodzie, rzucając nasze głosy na szalę międzynarodową, wywierając nacisk na opinię świata.

ny budynek we wsł, i zamienili go zajęli kościół, jako jedyny murowany. Żołnierze po dwóch dniach w fort. Łowili dziewczęta i gwałcili w swoich kwatery. Strzelali po pijanemu do słoń. Zranili dziecko. Zaproszili ogień i spalili kilka chat. Książd nie mógł patrzeć na plugawienie kościoła i poprowadził ludność na tereny wyzwolone, gdzie założono nową wieś. Otrzymał pomoc w budowie kaplicy. „Propaganda kłamie — woła — komuniści nie wtrącają się do spraw naszej wiary... Oni u nas przywra-

Wtedy z tłumem padł okrzyk: „obciąć mu te palce, którymi świętokradco dotykał Hostii. On przed mszą liczył pieniądze za ukradziony nam ryż, palce miał lepkie od łez sierot i wdów“. — Starzec mówił drżącym głosem: „jestem winien zgorzenia. Oddaję ziemię i ryż, który nagromadziłem. Bracia! Wybaczcie mi...“ Wszyscy wieni płakali, zebranie było ogromnym wstrząsem dla wioski. — Proboszcz został na swoim stanowisku, tylko skonfiskowano mu ziemię.

To wszystko, co zaobserwowałem — żarliwość wiary i słabość kadry — wynika ze specjalnych warunków, nie tylko społecznych ale klimatycznych. Upał, malaria, ucisk, nędzca...

— Czytamy obecnie Pańskie wspomnienia z podróży drukowane w „Życiu Warszawy“. Zapewne życzę się z tego spory tom. Kiedy można go oczekiwać?

— W ciągu miesiąca powinienem skończyć druk odcinków, a więc przygotować „Pamiętnik wietnamski“ do wydania. Będzie to gruba księga, dokument walki. Zdobici ją będzie około czterdziestu rysunków Aleksandra Kobzdeja, mego towarzysza w czasie wyprawy po Wietnamie.

— Słyszałem, że pisma zagraniczne zwróciły się do Pana z licznymi propozycjami. Może choć kilka słów na ten temat?

— Jak dotąd — tłumaczy się moja książkę bieżąco, z odcinka na odcinek, na język rosyjski. Na razie drukuje się to w „Ogońku“, ale całość ukaże się również w wydaniu książkowym. Pamiętnik mój przekłada się także na języki węgierski i czeski. Myślę, że opowieść o tym, co się dzieje w wyzwolonym Wietnamie, prędzej czy później zainteresuje Francuzów.

— Półtora roku temu miałem sposobność przeprowadzić z Panem wywiad. Rozmawialiśmy o Pańskich planach pisarskich. Dwie zapowiedziane wówczas książki ukazały się właśnie, jeszcze przed Pana powrotem do kraju. Teraz — zrozumię — jest Pan zaabsorbowany pracą raczej publicystyczną. A czym zamierza się Pan zająć później?

— Już w najbliższym czasie chciałbym się zabrać do porzuconej powieści historycznej o Stefanie Czarnieckim. Mam też wiele notatek do powieści współczesnej o zagospodarowywaniu Ziemi Odzyskanych; brałem w tym udział, temat mnie ciągnie — stale utrzymuję mocne związki ze Śląskiem.

Wchodzi pani Żukrowska z terminowym kalendarzem w ręku. — Masz czas o jedenastej, prawda?

Bo akurat pytają, czy nie mógłbyś nagrać w radio... Zapisuję... Dobrze — powiada Żukrowski nieco beznadziejnie. I do mnie z uśmiechem: — Teraz tak ciągnie...

Spoglądam na zegarek. Z pośpiechem kończę notatki.

Wywiad przeprowadził A. B.



kę — przychodził to z pewnym trudem; niemal same obce mi twarze. „To zdjęcie bardzo osobiste“ — wyjaśnia gospodarz. Ledwo znajduję jedno: Żukrowskiego „w towarzystwie“ owoców du - du.

Czas nagli. Pogawędka stopniowo przechodzi w formalny już wywiad. — Co Pana skłoniło do tej — bądź co bądź — ryzykownej wyprawy? — Gdybym zaczął od deklaracji politycznej, od przypomnienia poczucia solidarności międzynarodowej — musiałbym skłamać. Ta świadomość, jasne, że istniała we mnie, ale dopiero przez zetknięcie z walczącym bohaterko narodem wietnamskim nastąpiły powiązania uczuciowe, zaangażowanie się w ich sprawę; nadstawiałem głowę, ryzykowałem, w najcięższych warunkach poznałem ludzi. Odbardzali mnie kredytem zaufania, witali jak brata; to zobowiązuje. Wiele się nauczyłem, jeszcze więcej zrozumiałem. Dziś — gdy mówię: walka wyzwolenca Wietnamu jest i naszą sprawą — nie ma w tym cienia przesady.

— Odpowiedź Pana jest — mimo wszystko — nader dyplomatyczna. Nie wiem dotąd, co Pana skłoniło do eskapady. Przecież rzecz zdecydowana została dopiero w Chinach, w ostatniej podobno chwili, kiedy już miał Pan wracać do Polski. Przeproszam za niedyskrecję, ale powtarzam pytanie.

— Zazdrość, mówi Żukrowski wesoło. Jaki! Dwóch członków delegacji czeskiej potrafiło uzyskać pozwolenie jeszcze za pośrednictwem ambasady wietnamskiej w Pradze; dylaczego by nikt z Polaków nie miał pojechać? Proszę mnie źle nie zrozumieć tej mojej zazdrości. Oburzyło mnie przede wszystkim to, że w ciągu ośm u lat Wietnam odwiedziło zaledwie czterech ludzi z bloku państw ludowych. Ułatwienia, jakich doznał od władz wietnamskich, potwierdziły, że wina tego zaniedbania jest nie po ich stronie.

— Nawijając do ostatniej wiadomości politycznej. Zasięg informacji rzeczoznawcy, jakie znaczenie ma dla Wietnamu zdobycie Dien Bien Fu?

— Ogromne — stwierdza Żukrowski. Jest to zniszczenie jednej trzeciej sił manewrowych okupanta. W dolinie Dien Bien Fu w systemie potężnych fortyfikacji zamknięto się czterdzieści batalionów Korpusu Ekspedycyjnego, a więc siła większa od dywizji. Według raportów amerykańskich, których słucha gen. Navarre, głównodowodzący siłami francuskimi w Wietnamie — koncentracja miała udaremnić możliwość ataku wojsk wyzwolenych. Silna koncentracja poparta ciężką artylerią, bronią pancerną i zmasowanym lotnictwem — mogła w każdym punkcie przebić elastyczny front Wietnamu. Ponieważ nieprzyjaciel — ma do dyspozycji ograniczoną ilość batalionów — ażeby dokonać koncentracji, musi osłabić załogi granicznych fortów, które z kolei padają ofiarą ataków — Uderzenie na Dien Bien Fu jest dowodem, że ani liczba nieprzyjaciela, ani umocnienia i nowoczesny sprzęt amerykański — nie zatrzymują zwycięskiego pochodu. Armia wietnamska nie ma lotnictwa ani czołgów, ale ma za sobą naród — zdecydowany, gotów do największych poświęceń; uparta wola wygrała wysięg z samolotami i potężnymi

— Czy mógłby Pan opowiedzieć teraz coś, co zainteresuje Czytelników „Dziś i Jutro“ jako pisma katolickiego?

— W Wietnamie jest ponad cztery miliony katolików, jedna szósta ludności. Sprawa katolików jest sprawą bardzo drastyczną, bo wielu proboszczów — członków francuskich misji — uważa, że wierność Kościołowi, to wierność administracji okupanta... Próbuje nadać wojnie wyzwolenczej cechy walk religijnych, mobilizować katolików przeciw buddystom i taoistom; życie jednak przekreśla te ciasne wyrachowania. Spotkałem się z księdzem Wietnamczykiem, który całą wioskę przeprowadził ze sobą przez „zonę białą“, (biały kolor oznacza na Dalekim Wschodzie — śmierć). Opowiadał mi, że przygotował ludność na przyjęcie kompanii Legii Cudzoziemskiej, która miała bronić wioskę przed komuni-

KAZIMIERZ GARNCARSKI

cją godność człowieka uciskanemu ludowi“.

W czasie reformy rolnej zapoznano mnie ze sprawą innego księdza, starca sześćdziesięcioletniego, który był jednym z trzech wyzyskiwaczy w wiosce. Wyłudzał od konających parafian — groząc, że im nie udzieli ostatniego namaszczenia — legaty w testamentcie. Zebrał w ten sposób wiele ziemi. Sadzenie ryżu jest uciążliwą pracą typu ogrodniczego. Książd, oczywiście, sam pola nie uprawiał, tylko zwoływał wierznych do „pańszczyzny Chrystusowej“; mówił: „co zrobicie na moim polu, zrobicie dla Boga“. Publicznie przyznał się do tych sztućce. Był zwyczajnie chciwy, to często się zdarza. Jednak — prosząc wiernych o przebaczenie — akcentował twardo, że jego winy nie powinny zachwiać w nich wiary. Ze wprawdzie jest on słabym grzesznikiem, ale droga, którą ich prowadził, jest drogą prawdy. —

O Kobzdeju słów kilka...

Wystawa prac graficznych Aleksandra Kobzdeja jest nie tylko wielkim wydarzeniem w życiu artystycznym Stolicy i całego kraju — ale przede wszystkim jeszcze jednym odważnym aktem twórcy zaangażowanego w walkę o pokój światowy, o wyzwolenie uciskanych narodów Dalekiego Wschodu. Grafiki A. Kobzdeja nie powstały w czterech ścianach pracowni wyrwanej z nurtu życia — artysta nakreślił je na miejscu walki, w puszczy i na ryżowych polach, w kraju bohaterko stawiającym czoło powodzi bomb, pocisków i czołgów.

W chwili, gdy organizowany jest międzynarodowy spiszek imperialistów, w celu zdławienia wielkiego i szlachetnego narodu — rysunki polskiego artysty spełniają wielką rolę wiążąc nas z daleką rzekomo sprawą Indochin, podkreślając wraz z postępowymi twórcami europejskimi, że „Wietnam leży w Europie“.

Był rok 1947 albo 1948. W drewnianej hali sopockiego pawilonu obracał się powoli krąg zwiedzających. Zmieniały się opalone twarze, falowały kwieciste powiewne suknie. Bezszelestnie stąpali sznurkowe podszewy. Słyszałem dyskretne szepty. W zmrużonych oczach dostrzegałem pochwałę lub drwinę, śledziłem gesty rąk pomagające słowom.

Obrazów było sporo. Wisiały w ramach przypiętych szmaragdowym nalołem, imitującym spatynowany brąz, lub po prostu tkwiły w obiciu surowych listewek, które mają tę właściwość, że nawet kiepskiej kompozycji nie pozwalają się rozsypanie.

Przy jednym z nich wybuchł spór między starszą panią, a młodym człowiekiem w tenisowych spodniach. — Ja tu nic nie widzę — twierdziła kobieta o wyglądzie nauczycielki.

— A ja mogę udowodnić, że pani nie umie patrzeć — gorączkował się jej przeciwnik — Proszę spojrzeć jak to wszystko siedzi. Na przykład jak pięknie grają te różowe płaszczyczki z zielonymi napięciami tła.

Zajrzałem do katalogu, sprawdziłem numer i tytuł Aleksander Kobzdej — „Akt“... Nowe nazwisko i odważne jaskrawe plótno... Łowidem słowa obrońcy. Operował skomplikowaną terminologią, mówił coraz szybciej, na koniec przerwał i podniósł brwi wyciekająco. Uśmiechnął się do mnie.

— No może, może — szepnęła wycofując się starsza pani.

Moje drugie spotkanie z „Kobzdejem“ było na pierwszej ogólnopolskiej wystawie plastyki w Warszawie. Nie chciałem wierzyć, że to on, ten sam. Stałem przed wielkimi płótnami, na których twarde, kościste postaci ogłaszały nowy okres w jego twórczości.

I znowu minęło kilka lat, w ciągu których natrafiałem na obrazy i rysunki Kobzdeja. Zmienił się Statyczne, wymodelowane bryły, w których zamykał swoich ludzi i pejzaż, czy architekturę — miękkie, nabierały życia i wdzięku. I mimo że je obdarzał coraz większą swobodą nie przekraczały reguł, jakim podlega uroda kształtu i prawidłowość konstrukcji.

RYSUNKI Kobzdeja z podróży po Chinach i Wietnamie są nie tylko egzotycznym intermezjum w jego twórczości. Przez ten wielki korowód studiów i szkiców odkrywamy świat, który staje się nam bliższy; odkrywamy również grafika jakich mało.

Rysunek operuje prymitywnymi środkami. To jakby gra na jednej strunie. Kobzdejowi dobrze w tej kreacji. Z kresek, plam, chlapnięć i dotyków zbudował obraz dalekiego kraju. Przywoził powyżej setki skończonych portretów. Przedstawiał obcy tajemniczy pejzaż, giętką architekturę, dramatyczne epizody. Z wyjękami oglądałem ten rysowany reportaż.

Kobzdej z zadziwiająco łatwością pedzłem i tuszem przybliżył Chiny. Polska. Mowa rysunków jest wyważna, jak głos spikera, i ma lekkość przebiegu. Przechodzi je po kolei. Ze ścian

patrzają oczy czarne jak guziki, uśmiechają się szerokie twarze. Dziewczyna niosąca na kiju tubianki z ryżem ma pozę baletnicy. Na jej ustach drży zagadkowy wyraz. Ale profil starej kobiety na rysunku „Oskarżając“ jest nieruchomy. Kilka cisów pedzła wyrzeźbiło jej groźną brzydotę. Dalej dżungla, tajemnicza, pomimo domów, które w

niej drzemą. Później człowiek siedzący na ziemi z pięściami jak dojrzałe owoce papryki. I znowu kraj-obraz — przestrzenie ryżowisk zalanych wodą. Na groblach przysadziste chaty. Obok żołnierze, samochody, nosiciele frontowi.

Rysunki wietnamskie pokazują ziemię kontrastową, kraj wojny i tropikalnej roślinności, uśmiechnię-

tych dziewcząt i zamyślonych starszów, pracy i frontowych epizodów. Zwiedzając wystawy jestem nieopradny. Zwykle zaczynam od końca, Biegam od ściany do ściany wybierając rzeczy, które mnie pierwszorzaskakują. Rysunków z Wietnamu było 112. Gubiłem się w nich. Sięlenie się na malarską definicję wydało mi się jakieś bardzo nierozsądne. Lapidaryzm jednych wynagradza w następnych barokowość podzwrotnikowej przyrody. Miękką plamę zastępowała nagle kreska ostra, jak pęknięcie szyby. Kobzdej nie powtarza się. Ze zrzęczością zonglera operuje obrzydliwym reper-torium środków. Nagle wciela się w tubylca, chińska kuchnia graficzna o tysiącletnich tradycjach staje mu się posłuszną. Artysta rozsmakowuje się w niej, ulega wdękowi wschodniego malarstwa.

Chińska teka Kobzdeja jest o połowę cieńsza i jakby trochę słabsza. Wkradło się kilka beznamiętnych pomnikowych portretów. Krajobraz chłodniejszy, spokojniejszy ludzie. Ale i tu malarza nie zawodzi rzemiosło. Każdy rysunek jest nową etudą. Powiedziałbym etudą „do sluchu“ w przeciwieństwie do „palcówek“ i „gam“, które „wygrzywał“ przed kilkom laty sopocki Kobzdej. Rozwój jego sztuki przyspieszony spilecznym zamówieniem na realizm poszedł drogą obowiązującą każdego inteligentnego twórcę — od najprostszej konstrukcji aż pod skomplikowaną.

Opuszczając wystawę mam uczucie jakbym zamykał doskonały i aktualny przewodnik po Dalekim Wschodzie, którego kartki przemawiają nie tylko treścią, ale dojrzałym kształtem dzieł sztuki.

Jeszcze raz przechodzę do rysunku dziewczynki, której prawa nóżka ciemniejsza od lewej dyktuje wiotkiemu ciału równowagę. Wracam do „Zagrody w Szak szan“ myśląc o najlepszych tradycjach flamandzkich, a może właśnie... chińskich. Mijam „Krajobraz z Kanionu“ i zastanawiam się nad przetrzynnością języka kreski i płaszczyzn, którym przemawia do malarstwa, zbliżając odległe krańce świata.



Aleksander Kobzdej — Żołnierze frontowi

SKARBY I TALENTY

(Dokończenie ze str. 5)

NIECALE sześćdziesiąt kilometrów od Stalinozrodu wznoszą się mury zamku w Koszęcinie. Starzy ludzie opowiadają, że przed wielu laty rozprzeszczeliła się tu nieprzybity puszka bukowa, w której jak wysępki porozrzucały się skąpiści kurnych chałup pańszczyżnianych chłopów.

Ponoć tu za murami, pod starym parkiem ciągnęły się podziemne lochy pełne trupich czaszek i piszczy, a o północy z ponurej wiazy wznoszącej się nad kaplicą zamkową wychodził mial duch strzegący tajemnicy ukrytych skar-bów.

Z tamtych czasów przetrwała do dziś w niezmiennym jedyni owa ponura wieża z małymi, okratowanymi okienkami — oraz tajemnicza legenda o duchu. Z mi-na zawodowego kpiarza opowiadał mi ktoś w Koszęcinie wstrząsającą historię o pięknej, jasnowłosej księżniczce, zamurowanej żywcem przez okrutnego księcia w ponurej wiazy zamkowej za to, że nie chciała go poślubić.

Nie tyle możliwość ujrzania jasnowłosego ducha księżniczki, ile obowiązki dziennikarskie spowodowały, że postanowiłem pojechać do Koszęcina. W zamku koszęcińskim miesi się bowiem rezydencja Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Blond-widma, niestety, nie udało mi się zobaczyć w Koszęcinie, chociaż wieża zamkowa była rzeczywi-ście wymarzoną scenografią do fanta-stycznego filmu. Ale, że są tam w Koszęcinie skarby, to stwierdziłem na własne oczy. I uszy. Te ukrywane zadróżnie skarby oglądać mogą na razie dziennikarze, udający się na reportaż za zezwoleniem Mini-sterstwa Kultury i Sztuki — ale za parę miesięcy, być może już na 22 Lipca, zobaczy i usłyszy je cała Pol-ska. Są to skarby szeregich ludo-wych talentów wokalnych i tanecz-nych, wydobyte z najodleglejszych kątów Polski i szlifowane teraz star-annie i pracownie w zacisznych murach koszęcińskiego zamku. Dojr-zewają tam nie tylko talenty, lecz i charaktery ludzkie.

Ten podwójny szlif — artystyczny i wychowawczy — to najdziwniej-sza historia pod słońcem, brzmiają w pierwszej chwili prawie tak nie-prawdopodobnie jak wzmiankowana historia o duchach. A jednak — w odróżnieniu od tamtej — całkowicie prawdziwa i realna. W przeciągu niewielu miesięcy tworzy się w Ko-szęcinie zgrany reprezentacyjny ze-spół artystyczny, złożony z młodych ludzi, którzy poza rodzinną wsią górnośląską, opolską czy beskidzką nie widzieli prawie „świata Bożego”, z których wielu nawet nie znało nut.

A zaczęło się to wszystko od pew-nej upartej myśli. Takie uparte myślenie artyści nazywają „wizją twórczą” i nie mają póty spokoju, póki takiej wizji nie zrealizują. Dy-rektora Hadynę nawiedziła pewna myśl jeszcze w czterdziestym szóstym roku i od tamtej nie znalazł już spokoju. Wyszedł właśnie z sali koncertowej i w głowie brzmiały mu jeszcze zaśpiewane przed chwilą rzadkie melodie. Wprawnym uchem zawodowego muzyka ocenił niezwykłą muzykalność śpiewaków, świętą dykcję i doskonale zgranie całego zespołu wokalnemu — tane-czno. — Żeby tak u nas stworzył taki zespół — pomyślał. I tak się to zaczęło. A o jakimże innym zespole mógł marzyć dyr. Hadyna, jak nie o zespole ludowym, który reprezentowałby ukochany przez niego folklor śląski?

Nikt z tych, którzy znają dziś dyr. Hadynę, kierownika artystycznego zespołu „Śląsk” nie powie, że ten zespół, nerwowo człowiek w okularach, o typowej inteligencji twarzy — jest pochodzenia sęradzkiego. Urodził się w Beskidach Zachodnich, w Karpętnej pod Jawo-romem — jako syn zamilowanego zbieracza pieśni ludowych. W sta-rym egzemplarzu wydawnictwa „Za-ranie śląskie” z roku 1908 znalazł można podpis jego ojca pod pierw-szą publikacją tańca śląskiego — znanego już dziś powszechnie pod nazwą „turojaka”.

Kontynuując zainteresowania swe-go ojca, Hadyna wstąpił zaraz po ukończeniu gimnazjum do Instytu-tu Muzycznego w Cieszynie. Ale po jego ukończeniu, młody i utalentowany muzyk staje od razu oko w oko z ponurą rzeczywistością wojny. Wiele rodzin polskich na Śląsku postawionych zostało przez hitlerowców wobec ultimatum, pod-pisać „volksliste”, albo stracić wszystko. Rodzina Hadyny wybra-ła tę drugą ewentualność — zbył była przywiązana do polskości. Młody muzyk ukrywał się na terenie Warszawy. Późnym wieczorem, na krótko przed „godziną policyjną” przemykał się opuszczałymi ulicami, zdążając na tajne komplety do mieszkanka prof. Witwickiego. Pew-nego razu nie udało się jednak. Po-wróciła się historia jedna z wielu. Rozstawiona sieć „Japanki”, żądania „Ausweisu” i aresztowa-nie. W transporcie wywiezionych na przymusowe roboty zawędrował aż pod Berlin. Ale znajomość języka niemieckiego przydała się na czyjś przynajmniej. Pewnej pochnurnej nocy przed przecięte druty kolezai-ście wymknęło się kilka cieni. Jed-nym z nich był Hadyna. Dramatycz-na ucieczka przez trzy granice — via Wiedeń — do Generalnej Gu-berni udala się. Aż do końca oku-pacji rysopis Hadyny zdołał jed-nak tektze z aktami Gestapo w Berlinie, Wiedniu i Warszawie.

Powojenne dzieje dyr. Hadyny podane w wielkim skrócie to: stu-dia muzyczne u kompozytora Ludo-

mira Różyckiego, kierownictwo Wydziału Kultury i Sztuki w okręgu cieszyńskim, Związku Muzyków w Stalinozrodzie i Biura Koncertowe-go na Śląsku. Filharmonia Łódzka i Filharmonia Śląska wykonywały dwa koncerty fortepianowe Hadyny, który komponując, pisząc swoje trzy Kantaty, suitę baletową „Czantoria” i szereg pieśni ludowych — nie przestawał zarazem myśleć nad urzeczywistnieniem projektu utwo-rzenia zespołu pieśni i tańca.

O Hadynie, jako o autorze pro-jektu, uszyliśmy dopiero w roku 1952, podczas stalinozrodzkiej na-rady śląskiego aktywu kulturalnego, który wysunięty projekt zaakcepto-wano. Należało go jeszcze tylko zreal-izować. Że nie była to bagatelka, umysłowi opis jednej z wielu wy-praw „łowcy talentów” — w jakie-go od listopada 1952 przedzierzgnął się dyr. Hadyna.

„Dowiedziałem się pewnego dnia — opowiada dyr. Hadyna — że w Koniakowie, najwyżej po-łożonej wiosce Beskidów Śląskich, ma odbyć się tradycyjna „szkubacz-ka” — czyli darcie pierza. Miało to się odbywać w domu słynnej na całą okolicę koronczarki, Gwarko-wy. Porozumiałem się natychmiast z asystentem choreografa i we dwójkę wsiadliśmy niezwłocznie w po-życzony „Citroena”.

W małej izbie zastaliśmy Gwarko-wą i młode dziewczęta wiejskie. Siedziały one wokół wielkiej mied-nicy, skubały pierze i śpiewały swo-je piosenki. Żeby ich nie posłysz, przysłuchiwałam się początkowo w milczeniu. Zorientowałam się, że jest wśród nich kilka szczególnie muzykalnych dziewcząt, odznaczają-cych się bardzo dobrymi, choć nie wyrobionymi głosami. Pod koniec „szkubaczki” przybyli młodzi chłopcy, aby wziąć udział w tradycyjnej zabawie. Odkryliśmy wtedy z kole-i szereg talentów tanecznych i roz-poczęliśmy werbunek do naszego zespołu. Nie było to łatwe.

Opowiadania o tworzącym przez nas zespole pieśni i tańca słuchano tutaj niczym bajki o żelaznym wilku. Po długich wyjaśnieniach, kie-dy już ktoś zdecydował się jechać na egzamin, znaleźli się zaraz opor-ni. — „Kaj ta wam do zespołu — mówili — lepi doma siedzieć, a nie na jakówś tam miastowe rozpusty pozerać”.

O tym, że nie było to łatwe za-danie świadczy fakt, że dopiero po trzykrotnej wizycie w Koniakowie rodzice pozwolili wyjechać na egz-

amin eliminacyjny grupie koniakow-skiej młodzieży, przestzegając ich na drogę: — „Kieby wam było mar-koćno, to zarokki wracojcie”.

Ale „markoćno” to nikomu nie jest w pięknym koszęcińskim zamku. Kiedy zjechałem tam sobotnim wieczorem, odbywała się właśnie za-bawa zorganizowana przez aktyw zetempowski. Patrzyłem na wesołe, uśmiechnięte twarze dziewcząt i chłopców. Nie, takich rzeczy nie da się skłamać — widać było po nich, że czują się tu jak w rodzinie. Ukryty w głębi wielkiej sali gimna-zyjalnej obserwowałem tańczące pary, i rozmawiających. Ani śladu jakiegoś niemilego spoufalenia, żad-nych niestosownych wystryków. Ta młodzież zadziwiła mnie swoją zdyscyplinowaną postawą. Odnosili się wszyscy do siebie jak serdeczni, szanujący się nawzajem kole-dzy.

Ale to były już końcowy efekt żmudnej pracy pedagogicznej. To był już kolektyw, sementowany i kierujący sam sobą pod czujnym okiem wychowawców.

Rozmowa z dyrektorem Odonkie-wiczem i kierownikiem artystycz-nych Hadyną, oraz członkami zarzą-du ZMP otworzyła mi oczy na ogrom pracy, jaką wykonano tutaj w nie-prawdopodobnie krótkim czasie. A ciężko było z początku, kiedy za-czął dopiero działać zarząd zakła-du ZMP i samorząd uczniowski. Zjechała tu młodzież z różnych województw, mówiąca dosłownie róż-ny językiem. Zespół reprezentuje bowiem folklor Opolszczyzny, Ślą-ska Cieszyńskiego i Górnego, oraz Beskidów. Dzieliły i śmiały nale-ciałości dialektyczne w mowie, znie-chęcał różny zasób wiedzy i talen-tu, nieumiejętność kolektywnego współżycia, samowola i niesfor-moś nielotwórnego. Łączył — wspólny zapal do pracy, pęd do wiedzy i kształcenia wrodzonych tal-entów.

Wspólnie z dyr. Hadyną zwięd-załem pomieszczenia zamkowe. Wszędzie czysto i schludnie, aż do przesady. Na parterze ładna, obszer-na sala jadalna, świetlica — na pół-pietrze, w hallu stoją wygodne foto-le klubowe, można tam usiąść spokojnie w kąci i czytać, albo rozmawiać z kolegami lub koleżan-kami. Młodzież redaguje i odbija na powielacz własną gazetkę. Na-zywa się to „Echo Śląska”. Są w nim poważne artykuły, ostre i bez-kompromisowe frazki i saliry, a przede wszystkim to coś nieuchwytn-e — ta mieszanina boćniuczności,

marzeń i zadziwiającej trzeźwości sądów. Zapamiętałem szczególnie te kilka zdań: „...Jak śpiewam w chó-rze, albo słucham pięknej muzyki, to bym plakał z radości i wszyscy mi są wtedy tacy bliscy i kochani — i chciałabym być dla wszystkich dobra. Ale potem to mija — i znów jestem po starąmu, taka sobie, jak zawsze. Ale próbuję to w sobie zmienić. Bo stój przed nami wielkie zadanie. Musimy tu stworzyć jasne, słoneczne społeczeń-stwo, wolne od złości, intryg, fałszu i zawiści. Mam wokół siebie ludzi, którzy mi w tym pomogą”.

Człowiek, kroczący obok mnie, był właśnie jednym z tych, którzy włożyli całą swoją wiedzę i zapal w kształtowanie młodych dusz. — Wiece, dyrektorze — powiedziałem, że doskonaleś naprawdę rzeczy niezwykłych. Dyr. Hadyna uśmiech-nął się.

— Nie ma w tym nic niezwykle-go. Był i jest wprawdzie ogrom pracy, ale zawsze pozostaje jeszcze trochę czasu na bezpośrednie za-jęcie się młodzieżą. Wykladałem im etykę artystyczną, czytałem Stani-sławskiego, Gorkiego, Żdanowa — wglądałem oświadczenie w każdą sprawę, każdy zatarg. Sam nie przy-puszczałem nawet, że przyda mi się „Psychologia wychowania”, którą studiowałem kiedyś na „uniwerku”. Ciężko szło, zanim udało mi się do-prrowadzić do tego, że chłopcy i dziewczęta sami sobą rządzą. Dziś jest to już zespół o wysokim „mo-rale”, wysokim poziomie etycznym i codziennym wyższym poziomie arty-stycznym. Kiedy ktoś z nich coś „przeskrobie”, zwołują sami zebranie i przysadzają mu taką czy in-ną karę.

Wczorzym, na moją prośbę, za-improwizowano mały koncert. Za-lużył bardzo, że nie mogę zdradzać jeszcze nazwisk tych pięknie śpie-wających i tańczących dziewcząt i chłopców. Nie czas jeszcze na to — zespół pieśni i tańca „Śląsk” jest jeszcze w toku wyteżonej pracy artystycznej. Dla dobra tej młodzieży, aby nie psuć tego, co już osiągnię-to, powstrzymam się od podwał. Chociaż w zespole tym i tak nikt nikomu nie zdradzi, bo każdy mo-że tam być solistą. W zespole „Śląsk” nie ma „gwiazd” i „gwiaz-dorów” — partie solowe przerabają wszyscy i wszyscy mają równe szanse.

W koszęcińskim zamku udało mi się rzeczywiście odkryć, ukryte na razie, skarby. Poczekajmy cierpli-wie, a ujrzymy je wszyscy.

„ZŁOTY WIEK” HISZPAŃSKIEGO TEATRU

Lope de Vega, znaczący swoją twórczością okres „złoty wiek”, „złoty wiek” — Lope de Vega. Z dzieł jego te mają niemierną wartość, które czerpią ze źródeł ludowych i narodowych, rozkoszne pasos i co-locios, czyli sceny z rzeczywistego życia, pełne prawdy i surowego wdzięku. — Coż można w paru słowach powiedzieć o tytanie dra-matu, twórcy komedii hiszpańskiej i jej kodyfikatorze, o Lope de Vega, którego twórcy spadek, częściowo przepadły, liczy się astronomiczną cyfrą sześć i pół miliona wierszy, ilością mniej więcej 2.200 sztuk, w tym 1.800 komedii? Postawiony w dziejach światowego dramatu obok Szekspira — Lope de Vega, ow, jak go nazywał Cervantes „dziw natu-ry”, „feniks geniuszów” — czerpał przez całe swoje równie oujne, jak jego twórczość, życie — podnie-tę, materiał, a próbą u mas, które czarował, a które uznał odcjalnie za kompetentnego sędziego w sprawach komedii. Bujna wyobrazna, rozmach słowa, wsparte nieomylnym instynktem teatru — pozwa-lają artystyce wręcz improwizować na kanwie misterynych, acz czasem powtarzających się w konfliktach intryg i powikłał sytuacyjnych. Urealizował konwencje starej tra-dycji; dawny błażen, grazioso, staje się u niego przedstawicielem zdro-wego rozsądku. Komizm nie umniejsza patosu. Nie ma tematu zbyt szero-kiego, ani zbyt wąskiego dla jego dramatu. Patos historii zamknie w obrazie buntów chłopskich w „O-wczym źródle” i każe się zerwać ludo-wi do walki z tyranem na apel ko-biety. Poprzez pozorną białość kom-edii „Pies ogrodnika” — głośić bę-dzie równość człowieka, równe praw każdego do miłości i godności; zro-bi obrachunek wartości człowie-ka. Twórczość Lope de Vega to zen-it „złotego wieku”. Nie przygasił on jednak zasługi wielkiego drama-turga Guillen de Castro, który hisz-pański heroiczy mit Cyda przekazał literaturze światowej (Corneille), ani pozycji Tirso di Molina, dra-maturgicznego ojca wszelkich lite-rackich opracowań dwóch hiszpań-skich wersji Don Juana. Okres schyłkowy uświetniła również bujna, i bardzo w swej wartości nierówna twórczość Calderona. Z wielką tra-dycją ludową wiąże go kult boha-terstwa, przechyłony ku apoteozie męczeństwa „Książę niezłomny”, pod silnym ciężeniem tradycji religijnej i pod wpływem bujnie rozwiniętej mistyki. Stąd z jednej strony roz-rost tradycyjnych autos, z drugiej jego nowe odmiany (np. „dramat Toski”, „Nabożeństwo do krzyża”). Calderon daje wyraz w swych „teo-logicznych” dramatach gorącej wie-rze ludu hiszpańskiego, zróżniętej — jeszcze w czasach walk z Arabami — z równo gorącym patriotyz-mem. Zwykle tezy katolickie jego dramata kładą nacisk na potęgę Boga i na przemocy Łaski; jakżeż wymowna jest w czasach despotyz-mu w Hiszpanii interpretacja nauk miłosierdzia Bożego przemocą silnej ręki nad człowiekiem, przemocy zjawiającej go — wbrew niemu.

Obok dramaturgicznych — mno-stwo w twórczości Calderona różno-gatunkowych komedii, wśród któ-rych perla jest „Alkad z Zalamei”, gdzie autor kreślił dodatnie po-staci wieśniaków i Maurów wystę-puje przeciw uprzedziomemu stan-owym. W innych (np. „Lekarz swego honoru”) odzwierciedla moralną pot-wórczość rodziny feudalnej, blicze bożka szlacheckiego honoru. Snują-cy się po jego dramatach ideał „do-brego króla” ma chyba ideologicz-nie jednoznaczna wymowę: to kry-tyka współczesnego mu despotyzmu i niedoświata na tronie.

Jeśli tragiczną linię politycznych dzieł Hiszpanii w XVI i XVII w. nakreślił wedle określenia Marksa „azjatycki despotyzm” jego wlad-ców, to w spanyalnym rozbiysku jej narodowej artystycznej kultury — zadecydował wtedy jej lud. A szczy-towym wyrazem tej artystycznej kultury — dramat „złotego wieku”.

Wedle Cervantesa także autora komedii właściwym ojcem teatru, „tym, który go wyprowadził z ple-luch”, był bezpośredni poprzednik

Wiedle Cervantesa także autora komedii właściwym ojcem teatru, „tym, który go wyprowadził z ple-luch”, był bezpośredni poprzednik

Początek czasowy wszechświata a istnienie Boga

(Dokończenie ze str. 3)

czey, wystarczy przyjąć, że tam, gdzie nie ma żadnej realnej moż-ności zaistnienia czegoś, tam, z ra-cji nie istnienia tej możliwości, nie znajdujemy żadnej proporcji z wy-padkami, przy których realna moż-ność służy za tworzywo dla okre-szonej postaci jakiegoś bytu aktu-alnego.

4. Jeżeli przyczynie zaistnienia wszechświata trzeba przypisać moc nieskończoną, to w takim razie musimy powiedzieć, że ta przyczy-na jest B o g i e m, bo chociaż nasze wywody prowadzą nas tylko do przypisywania jej względnej mocy nieskończonej (potentia infinita secundum quid), tzn. mocy dostosowanej do stwarzanych by-tów, a nie mocy nieskończonej pod każdym względem (potentia infinita simpliciter), to jednak nie może ulegać wątpliwości, że je-stestwo, ukazujące się nam pod as-pektem względnej nieskończonej mocy sprawczej, musi posiadać bez-żadnych ograniczeń tę pełnię do-skonłości, jaką wiążemy z pojęciem Boga. Jeżeli by bowiem wy-mienionemu jestestwu brakowało jakiejś doskonałości, którą w naszym sposobie pojmowania wyodrębniamy w Bogu od Jego mocy stwórczej, lub gdyby to jestestwo posiadało jakąś doskonałość z pew-nym ograniczeniem, już byłoby pod jakimś względem ograniczone w swej mocy powołania do istnienia naszego wszechświata, już jego re-latywna do tego wszechświata moc stwórcza nie byłaby nieskończona. Św. Tomasz z Akwinu miał więc słuszność, gdy względnie nieskon-ńczoną moc stwórczą wiązał z isto-tą nieskończoną (essentia infinita), z istnieniem z siebie, z posiadaniem wszystkiego w formie czystej doskonałości, z całkowitą po-jedynością.

Ponieważ fakt zaistnienia wszech-swiata daje się wyłącznie zrozumi-eć przy założeniu istnienia i dzia-lania istoty mogącej się utożsamiać tylko z Bogiem, dlatego przy rea-listycznej teorii pojęć możemy na-sze rozumowanie redukcji, tłu-maczenie, zakończyć wnioskiem, że B o g r z e c z y w i s c i e i s t n i e j e .

5. W przedstawionej tu argumen-tacji nie odwoływałem się do cechy przygodności, jaka przysługuje bytom otaczającym nas wszech-swiata. Jeżeli więc moje wywody są poprawne, nie jest prawdą, że-by do przeświadczenia o istnieniu Boga/ można było dojść tylko na drodze takiego czy innego argu-mentu z przygodności wszechświa-ta. Ale choć punkt wyjścia mojej argumentacji nie stanowiła cecha przygodności, to jednak nie można

zaprzeczyć, że ta cecha, choć nie wymieniona, stoi domyślnie u pod-staw powyższych wywodów. Wszak w moim rozumowaniu bazuję na fakcie początku czasowego wszech-swiata a to, że wszechświat nie zawsze istniał, to, że miał początek w swym trwaniu czasowym, jest dowodem, że ten wszechświat jest zespołem bytów przygodnych, nie-koniecznych, mogących istnieć i nie istnieć, bo to, co jest bytem koniecznym, do czego istoty należy istnienie, istnieje zawsze, bez żad-nego początku. Sprawdzi się więc w stosunku do mojej argumen-tacji ex inceptione mundi to, co ks. Ignacy R ó z y c k i i twierdzi ogólnie w swym autoryzowanym skrypcie Dogmatyka, ks. II, Istnienie Boga (Kraków 1948, n. 363), że każdy dowód istnienia Boga jest dowodem z przygodności jeżeli nie formalnie, to przynajmniej w zna-czeniu przyczynowym, bo choć nie wszystkie dowody mają za podsta-wę stosunek przygodności, to jed-nak wszystkie fakty, które stanowią ich punkt wyjścia, wypływają z przygodności.

6. Przy retrospektywnym rzucie oka na moją argumentację nie chciałbym przemilczeć tego, że w tłumaczeniu zaistnienia wszech-swiata, które prowadzi do przeświadczenia o istnieniu Boga, nie wszystko jest dla nas w pełni zrozumiałe. Częściowo w głębszym mrok pograża się pojęcie stworzenia przez Boga z niczego, pojęcie powołania do istnienia przez Boga, całego bytu danego jestestwa a więc bez posłużenia się jakimś ma-teriałem wpiętr istniejącym. Musimy z całą lojalnością powiedzieć, że my, którzy z doświadczenia zna-my jedynie powstawanie czegoś nowego z istniejącego już bytu, nie jesteśmy w stanie pozytywnie dokonać coś takiego, jak stworze-nie z niczego. Odwoływanie się do nieskończonej mocy Bożej czy do tego, że Bóg jest cały aktem, do-skonłością, nie zdaje się naszemu rozumowi coś efektywnie i adekwatnie wyjaśnić. Na wskazaną przez nas niemożność zrozumienia zwrócił już uwagę Paweł Schanz, Wilhelm K o c h ó y i H. P i n a r d ó .

Ale choć pojęcie stworzenia z ni-czego przez Boga jest dla nas ciemnym pojęciem, to jednak ta okoliczność nie może być wystar-czającym powodem do odrzucenia tego pojęcia. Wszak jedynie przez odwołanie się do pojęcia stworze-nia z niczego przez Boga możemy zadawalać wytlumaczyć zaist-nienie wszechświata. Wymienione pojęcie trzeba więc mimo tajem-ności jego treści uznać za św. Tomaszem z Akwinu za pojęcie f i l o z o f i c j e l a , chociaż autorowie przedchrześcijańscy nie

doszli do jego sformułowania, jak już na to zwrócił uwagę m. in. J a n o d ó w. T o m a s z z a 8 i o. A. D. S e r t i l l a n g e s O. P. 9. Gdybyśmy zaistnienie wszechświata przedsta-wili sobie za Russelem jako zaist-nienie zupełnie spontaniczne, mu-sielibyśmy po głębszej refleksji przyznać, że taka interpretacja wy-mienionego faktu czyni go dla nas czymś zupełnie niezrozumiałym, czymś całkowicie irracjonalnym. Jeżeli więc mamy wybierać między tłumaczeniem, które nie we wszyst-kiem jest dla nas jasne, ale które przynajmniej w części daje nam o-statecznie zrozumieć zaistnienie wszechświata, a negacją tego tłumaczenia, przy której rzeczone za-istnienie przechodzi w sferę całko-wiciej irracjonalności, to trudno nam nie opowiedzieć się za części-owo rozświetlającym tłumaczeniem. Bierzemy tu stronę logosu nie dla-tego, że, będąc istotami rozumny-mi, spontanicznie oglądamy się za śladami rozumu w otaczającym nas świecie, ale dlatego, że, badając coraz głębiej ten świat, przekonuje-my się, ile w nim jest zgodności z rozumem, tak że nawet w tych wypadkach, w których ta zgodność nie jest dla nas oczywista, ufamy, że ona faktycznie istnieje.

Chciałbym jeszcze podkreślić, że gdy idzie o działanie Boże, nie po-dobna domagać się, żeby w nim wszystko było dla nas zrozumiałe, skoro Bóg przewyższa w sposób nie dający się wypowiedzieć to wszyst-ko, co poza Nim istnieje i co mo-żemy pomyśleć (10). Fakt więc, że zupełnie nie rozumiemy, jak może się dokonać stworzenie z niczego, powinien być dla nas raczej wskaź-nikiem, że w naszych dociekaniach znaleźliśmy się na dobrej drodze, że naprawdę zbliżyliśmy się do Bytu, o którym, jak zauważył św. Tomasz z Akwinu, lepiej wiemy, czym nie jest, niż czym jest (11). Ks. Schanz i ks. Koch mieli nie-wątpliwie słuszność, gdy twierdzili, że trzeba byłoby być Bogiem, żeby można było rozumowo do głębi przeniknąć akt stworzenia z nicze-go.

Ks. Kazimierz Kłószak

1) Poglądy i widoki nauki współcze-snej, tłum. Jana P a s s o w s k i e g o, Warszawa, bez daty, s. 137, 138. W odwołaniu Diaczego nie jestem chrześcija-ninem?, wygłoszonym w Londynie dn. 6.III.1927 r. pod egidą National So-ciety of Science, Russia opowie-dział się zdecydowanie „za” ateizmem.

2) Pojęcie Boga — mówi — hierze swój początek w starożytnym wschodnim despotyzmie. Jest to pojęcie bezwarunkowo niegodnie wolny to ludzie. (Cytuje za pol-skim tłumaczeniem Amelii K u r m y s k i e j e l a Polskiego, bez daty, s. 15).

3) Głos obrony X. prof. Sawickiego, Orodownik diecezji cheł-mińskiego, r. 4 (80), 1948, s. 206. W przytoczonym zdaniu daje się do-strzec jakiś wpływ idealizmu epistemo-logicznego K a n t a, który ks. Sawicki w zasadzie zwalczał, jak to jest widoczne z jego książki Die Wahrheit des Chri-

stentums 5-6, Paderborn 1921, s. 11-13.

3) Zob. m. in. cyt. art. ks. Sawickiego, s. 206-208, jego autobiografic (Die Religionswissenschaft der Gegenwart in Selbststellungen, herausgegeben von Elisabeth Stange, Leipzig 1927, s. 35, 36) oraz jego art. Das Irrationale in den Grundlagen der Erkenntnis und der Gottesbeweise (Philosophische Jahrbuch, 44. Bd. 1931, s. 411).

4) Na tę okoliczność, że założenie stworzenia z niczego skłania nas tylko do mówienia o względnej mocy nieskon-czonej, zwrócił już uwagę św. Tomasz z Akwinu w Scriptorum super libros Sententiarum magistri Petri Lombardi, in lib. IV, dist. V, qu. I, a. 3, solut. 3, ad 5. Niesłusznie, doktor powszechny powiłał swoje wywody z ideą nieskończonej odległości mającej zachodzić między czło-wiekiem niebytem a aktualnym istnieniem (5).

5) „Niemand kann diesen Begriff ent-behren” — pisal o pojęciu stworzenia z niczego ks. Schanz i ks. Koch — nie-mand wird aber von ihm erwartet, dass er ihn in die Werkstätte Gottes einführt und das wie der Göttlichen Schöpfungs-aktigkeit vor Augen stelle”. Paul S c h a n z in Apologie des Christentums, erster Teil: Gott und die Natur, vierte, vermehrte und verbesserte Auflage, herausgegeben von Wilhelm K o c h, Freiburg i. Br. 1910, s. 688.

6) „Le comment de la création — twierdzi ten autor — reste mysterieux”. Creation, Dictionnaire de Théologie cat-holique A. V a c a n t a, E. M a n g e n o t a i e A m a n n a, tom trzeci, część druga, Paryż 1939, kol. 2027.

7) W Scriptorum super libros Sententiarum magistri Petri Lombardi, commentum in lib. II Sent., dist. I, qu. I, a. 2, św. Tomasz utrwymiał, „quod creationem esse non tantum fides tenet, sed etiam ratio demonstrat”. Bóg może dotrzeć się myślicie do środniowiczny w De potentia Dei, qu. III, a. 5: „...ratione demonstratur et fide tenetur quod omnia sunt a Deo creati”.

Nie jest dogmatem w Kościele Katolickim, że do przyjęcia stworzenia wszechświata z niczego można dotrzeć przy pomocy samego rozumu, bo — jak wyjaśnił Ojciec Soboru Watykańskiego przychylnie Jędzi w odniesieniu do łączonym do rozdziału pierwszego „koń-stytucji dogmatycznej o wierze katolickiej: „Etsi in canone legitur vocabulum Creator, non ideo definiuntur, creatio nem proprie dictam ratione demonstrari posse”. Jednakowoż, jak dowodzi Pinard (studium cyt., wzw., kol. 2192 — 2194), z dogmatu dogmatycko-logicznego pozna-nia prawdziwego Boga, który jest Stwor-cą, wynika jako wniosek filologiczny pewny, że rozum ludzki przynajmniej w zasadzie, jeżeli nie u wszystkich jedno-ści, jest zdolny do poznania konieczności stworzenia z niczego.

8) Cursus philosophicus thomisticus, nova editio a P. Beato R e i s e r e O. S. B. exarata vol. II, Turisii MCMXXXIII, Naturalis philosophiae I pars, qu. XII, a. 1, s. 249 b 25 — 28.

9) L'idée de création et ses retentisse-ments en philosophie, Paris 1945, s. 5, 6; Le Christianisme et les philosophies, Paris, b. d. t. I, s. 50, 51, 147-150, 154, 170.

10) Sententias pise na s. 50 pier-wszego tomu tego drugiego dzieła, że wprawdzie platończyk E u d o u s i i niektórzy neopitagorejczycy głosili przychylnie Jędzi w odniesieniu do sa-mamej nawet materii, ale nie jest rzeczą jasną, jak pojmowali Jędzi i jej po-wszęchną przychylnie.

11) „...super omnia quae praeter ipsum sunt et concepti possunt ineffabili-ter excelsius”. Vaticanum, Const. de fide catholica, cap. I. — Przytoczone słowa wyrażają nie tylko stanowisko wiary, ale i „Magis, nisi existatur nobis de ipso quid non est, quam quid est...”. Sum. theol., I, qu. I, a. 9, ad 3. — Zob. jeszcze Sum c. Gent., lib. I, cap. XIV i XXX.

Stefania Skwarczyńska

Redaguje Zespół Prerunarski miesięczna 4 z Kwartału 12 z Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 4-60-11 (5). Zamówienia i wplaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wielciodrukowe RSW „Prasa” w Wa, Marszałkowska 3/5 Zam. 822-0-150045

DZIS I JUTRO 9

SERGIUSZ EISENSTEIN - POETA EKRAŃU



Iwan Groźny (1945)

1.
film — to światopogląd, przewodnik ruchu, nowator literatury, zwycięzca estetyki, nieustraszonosc, rozsada ideologiczna. Lecz film jest chorej kapitalizm zasypał go złotem, kombinatory i aferzyści prowadzą pod rączką po ulicach. Zbierają forsy, spekulują na sercach, wyciskają izy z oczu tematyka. Temu trzeba potożyć kres. Komunizm odbierze film spekulantom". (W. Majakowski)

D WIE daty 1898—1948 zamykają 50-letnie życie artysty, który wraz z Griffithem, Chaplinem i Pudowkinem nobilitował film i wraz z nimi wszedł do Panteonu najwybitniejszych twórców naszego stulecia. Upięknio już 6 lat od śmierci, najwybitniejszego twórcy filmowego — Sergiusza Eisensteina. Ale w okresie tym w Polsce niewiele uczyniono, by ukazać pełną wielkość jego twórczego dzieła.

Urodzony 23 stycznia w Rydze, Sergiusz Eisenstein, student architektury politechniki petersburskiej, pracę twórczą rozpoczął w roku rewolucyjny, jako 19-letni żołnierz Armii Czerwonej, autor licznych plakatów propagandowych. Ale zamiłowania malarzkie nie wyczerpywały twórczych możliwości jego bujnej i nieokiełznanej natury. W okresie służby wojskowej w jednym z oddziałów saperkich zorganizował amatorski zespół teatralny. Niespożyty energią twórca i talentem zwyciężył rychło na siebie uwagę i w roku 1920 został zwolniony z wojska dla ukończenia studiów. Nie wrócił jednak na architekturę. Na uniwersytecie moskiewskim rozpoczął — na krótko zresztą — studia językowe. Ciekawe warunki zmuszają go do szukania jakiegos dorywczego zajęcia. Za pośrednictwem przyjaciół zostaje scenografem w teatrze Proletkultu.

Były to lata bujnych dysput o sztuce proletariackiej. W ogniu doniosłych wystąpień Proletkultu. Feksu, LEF-u, MCHAT'u czy Meyerholda

nego" (1945). Faktem jest, że filmy te nie zawsze osiągały zamierzony cel, że w swoich eksperymentach zacierał czasami Eisenstein wyrazistość idei, ale nawet i w tych wypadkach nie można pominąć milczenia tego, że twórczym impulsem i podstawą do tych poszukiwań był zawsze rewolucyjny temat.

2.

"Poeci są wielkimi odgrzebywaczami słów... a słowa te do rymu użyte mają potęgę rewelacyjną. Czasem malarz przechodzący na poetę jest w słowach rewelatorem kolorytu..." (J. Słowacki)

KIEDY Eisenstein przystępował do realizacji swego pierwszego dzieła, dwaj jego wielcy poprzednicy Griffith i Chaplin mieli już ustalone pozycje w historii filmu. Griffith uczynił już pierwszy krok, by niemu filmowi nadać rangę sztuki: statycznym dotychczas i martwym fotografiom dał ekspresję poprzez świadome zastosowanie zbliżenia i montażu. Chaplin wprowadził na ekran żywego, prostego człowieka. Podczas gdy dla komedii filmowej na całym świecie „gag” był jedynym celem, on uczynił zeń środek, którym eksponował ukazywaną postać, nadawał jej ludzkie cechy.

Eisenstein przejął dorobek poprzedników i rozwinął, wykazał jego pełniejsze i większe możliwości artystyczne. Film był dlań syntezą wszystkich rodzajów sztuk. W jednym z licznych swoich artykułów pisał: „O środkach ekspresji plastycznej Puszki, o znaczeniu, jakie dla kultury filmowej posiada ten najbardziej lakoniczny mistrz słowa — można by pisać całe rozprawy. O wartości plastyki i oryginalności „kadrów” opisowych u Gogola można by tyle powiedzieć, co i o jego wręcz filmowym operowaniu barwą. Tolstojowska metoda odsłaniania uczuć i myśli bohaterów oraz ujawniania mechaniki ich czynów — pozostanie na zawsze niewyczerpanym źródłem doświadczeń. Twórca filmu historycznego nie będzie mógł przejść obojętnie obok Surikowa. Twórca filmu psychologicznego obok Repkina. Twórca zglebionej charakterystyki portretu filmowego — obok Sierowa. Wielka tradycja mistrzostwa Musorgskiego będzie zawsze drogowskazem przy muzycznym opracowaniu dramatu filmowego. Studiowanie rytmiki Majakowskiego wzbogaci wiedzę niejednego pokolenia przyszłych filmowców. Gorki pozostanie na zawsze akademią umiejętności realistycznego ujmowania życia i człowieka”.

W zakresie środków wyrazu filmowego dał Eisenstein nowe pojęcie montażu jako środka organizacji czasu i przestrzeni filmowej. Scena masakry na schodach odeskich wprowadziła względność pojęcia czasu — pozabawiła go praw fizycznych nagięając do dramaturgii. Eisenstein ukazał, że montaż to nie tylko chronologiczne łączenie ze sobą zdjęć i scen dla uzyskania toku narracji, ale że dzięki zestawieniu dwu obrazów tworzy nowe pojęcia. Ze przyjmując poszczególne obrazy za odpowiedniki abstrakcyjnych pojęć drogą zestawień montażowych można przeprowadzić takie czy inne tezy filozoficzne. Ta ostatnia koncepcja znana jest w historii filmu jako koncepcja „kina intelektualnego”, które jednak przez wyeliminowanie z utworu człowieka rychło zeszło na manowce formalizmu. Zresztą sam twórca uznał późniejszą błędność tej koncepcji.

Sąd o Eisensteinie jako najwybitniejszym plastyku filmowym ugruntowały jego wszystkie dzieła — począwszy od „Strajku”, a kończąc na „Iwaniu Groźnym”. Każde z nich wniosło do malarstwa filmowego nowe, indywidualne wartości. Czy to były wspaniałe linearne kompozycje w „Pancerniku Potiomkinie” czy impresyjne wizje świetlne w „Październiku”, czy o przejmującej fotogeniczności kadry niedokończonych arcydzieła meksykańskiego, czy kunsztowne w swej symfonii bieli sekwencje „Aleksandra Newskiego”, czy wreszcie wyrafinowane w swej stylizacji

zacji obrazy „Iwana Groźnego”. Jego współpraca z wybitnym operatorem Edwardem Tisse i dzieło ich nie ma precedensu w historii filmu.

Eisenstein był jednym z wielkich twórców okresu niemieckiej kinematografii, który z nastaniem ery dźwiękowej zdobył się na całkowicie nowatorskie dzieła. Chaplin i Pudowkin pozostali, jak wiemy, mistrzami niemieckiego okresu, Eisenstein utrzymał swój prymat i w okresie dźwiękowym.

W swych nowych dziełach dał przykład niezrównanego zespolenia elementów wizualnych i dźwiękowych, niezrównanego mistrzostwa realizacji filmowej. Jego sztuka w zespoleniu wszystkich środków wyrazowych współczesnego filmu, w próbie stworzenia stylu, który użytkowałby dorobek wszystkich sztuk, doprowadził dzieła dźwiękowe do niespotykanej doskonałości. Technika jego poety ekranu jest tak olśniewająca, że swym bogactwem przysłania niejednokrotnie emocjonalne odczucie dzieła, co miało szczególnie wyraz w „Iwaniu Groźnym”.

Wyjątkowość dzieł Eisensteina jest niepowtarzalna, jak niepowtarzalna i rzadko osiągnięta jest doskonałość arcydzieł. Jego całe dzieło było prze-

jawem niespożytego talentu wieczy nie twórczego geniuszu. Mówiąc o wykazaniu przez Eisensteina nowych możliwości i rozwinieciu środków wyrazu artystycznego filmu nie wolno jednak zapominać, że u podstaw leżała głęboko humanistyczna postawa twórcy, jego oddanie sprawie rewolucyjnej.

Tak jak nie wolno zapominać o jego dorobku i otaczać go zasłoną milczenia. Bo „kto tworzy rzeczy niemożliwe według reguł jego sztuki, a mimo tego osiągnie swój cel, to trudno powiedzieć, aby zachodził tu błąd” — pisał Wiktor Hugo. My zdajemy się o tym pamiętać.

Wystawę wiedeńską od dwóch do pięciu tysięcy osób dziennie.



Aleksander Newski (1938)

KILKA SŁÓW

o muzyce
KONCERT Z UDZIAŁEM ARTYSTÓW SZWEDZKICH
Na początku kwietnia odbył się koncert Filharmonii Warszawskiej z udziałem przybyłych do Polski na gościnie występy wybitnych artystów szwedzkich: pianistki Grety Eriksson i dyrygenta Sixtena Ekelsjöa.
Program koncertu zawierał i Symfonię Sibeliusa, koncert fortepianowy c-moll Rachmaninowa oraz „Noc świętojańska” kompozytora szwedzkiego H. Alfvéna — utwór oparty na motywach szwedzkich pieśni i tańców ludowych.

o architekturze
WOKÓŁ ODBUDOWY WARSZAWSKIEGO ZAMKU
Jak wiadomo, Stowarzyszenie Architektów Polskich na zlecenie Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy zorganizowało zamknięty konkurs urbanistyczno-architektoniczny na projekt zabudowy Placu Zamkowego i związanego z nim obszaru Starego i Nowego Miasta.

Projektowana zabudowa Placu Zamkowego i jego otoczenia powinna — w myśl programu konkursu — nie rezygnując z zewnętrznej szaty zabytkowej odpowiadać współczesnym wymogom użytkowym zarówno pod względem rozplanowania wnętrza, jak i komunikacji miejskiej i podjazdów, postojów itp. Zamek Warszawski winien dominować plastycznie nad otoczeniem stanowiąc bogatszy akcent architektoniczny w widoku od strony Wisły, jak też od Krakowskiego Przedmieścia.

Do udziału w konkursie zaproszeni zostali najwybitniejsi architekci stolicy. Większość z nich zorganizowała już zespoły. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w końcowych miesiącach bieżącego roku. Przewidziano za trzy główne nagrody — I w wysokości 25.000 zł, II — 15.000 zł i III — 10.000 zł.

WYSTAWA DZIEŁ WIELKIEGO ARCHITEKTA RENESANSU
W końcu marca w Galerie des Beaux-Arts w Paryżu otwarto wystawę pod tytułem „Wille Vicenzy”. Niemal całkowicie jest ona poświęconą dziełom wielkiego architekta włoskiego renesansu — Palladio.

Mają mamy wiadomości o dziełach i młodości artysty. Wiadomo jedynie, że w 1524 roku rodzina jego osiadła w Vicenzy, miasteczku położonym między Padwą i Wenecją, gdzie młody Andrea pracuje jako murarz.

W 1537 roku jest on nadal zwykłym rzemieślnikiem, ale już w trzy lata później sam buduje jedną z najpiękniejszych wili w Lonedo. W 1545 roku jest już znany i sławny. Bieże udział w odbudowie bazyliki w Vicenzy, a następnie staje się wielkim architektem Wenecji. Najslawniejsze jego dzieła to kościół św. Jerzego i kościół Zwiastowania w Wenecji oraz Teatr Olimpijski i wspaniałe pałace w Vicenzy.

Architektura Palladio o bogatych kolumnadach i belkowaniach wywarła wpływ na architekturę większości krajów europejskich. Jego praca teoretyczna pt. „Cztery księgi o architekturze” nadal jest bardzo ceniona.

ZAMEK PIASTOWSKI W LEGNICY BĘDZIE ODBUDOWANY
W Legnicy prowadzone są prace wstępne przy opracowaniu dokumentacji na odbudowę starego zamku piastowskiego. Zamek ten należy do największych na Dolnym Śląsku. Według opinii znawców pochodzi on z początków XI wieku. Na bramie wjazdowej zachowały się do dziś ornamenty z orłami piastowskimi.

W odbudowanym zamku projektuje się urządzenie między innymi muzeum, biblioteki miejskiej, archiwum, szkoły muzycznej oraz sal koncertowej.

NOWY KOŚCIÓŁ KU CZCI JAPONSKICH ŚWIĘTYCH W RYMIE
Profesor Lucas Hasegawa z Tokio zajmuje się obecnie dekoracją wnętrza nowego kościoła zbudowanego w dzielnicy Civita Vecchia w Rzymie. Kościół ten powstał ku czci 26 księży japońskich kanonizowanych w 1864 roku przez papieża Piusa IX.

Artysta japoński, który rozpoczął malowanie fresków w 1950 roku, ma nadzieję, że już we wrześniu mu się zakończy ozdabianie wnętrza kościoła.

o filmie
SUKCES „PIĄTKI Z ULICY BARSKIEJ”
W Cannes zakończył się VII Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Grand Prix miasta Cannes na rok 1954 otrzymał film produkcji japońskiej „Dziękuję Mon” („Brama piekieł”).

Nagrodę międzynarodową uzyskał film długometrażowy „Piątka z ulicy Barskiej”, przy czym wyróżniony został specjalnie za reżyserię Aleksander Ford który należy do laureatów Festiwalu. Ponadto odznaczono polski film krótkometrażowy Jerzego Bossaka „Powrót na Stare Miasto”, wyróżniony za realistyczne ujęcie tematu.

Otrzymał również nagrodę międzynarodową film radziecko-albański „Skanderberg”.

Nagrody międzynarodowe przypadły dalej Francji za film „Przed potopem”, Indiom — za film „Dwa hektary ziemi”, Włochom — za film „Karuzela neapolitańska”, Australii, USA, Szwecji.

Spośród filmów krótkometrażowych uzyskały nagrody, poza wymienionymi już filmem polskim, filmy zaprezentowane przez Czechosłowację, W. Brytanię, USA, Francję.

SUKCES FILMU „SADKO” W AMERYCIE ŁACIŃSKIEJ
Piękny radziecki film kolorowy „Sadko”, który niedawno obiegł ekrany naszych kin, cieszy się olbrzymim sukcesem na festiwalu filmowym w Mar del Plata w Boliwii. Wszyscy uczestnicy festiwalu stwierdzają, że „Sadko” należy do najlepszych filmów wyświetlanych w Mar del Plata.

WSKRZESZENIE DAWNYCH PIĘŚNI I TAŃCÓW POLSKICH
Studio Dawnej Muzyki, Pieśni i Tańca przy Państwowej Filharmonii w Poznaniu, przystąpiło do pracy nad rekonstrukcją muzyczną i choreograficzną szeregu tańców chiopskich i plebejskich z XVI i XVII wieku. Tańce te odtwarzane są na podstawie zapisów kronikarskich, rycin i ilustracji starożytnych, a także obrazów, oraz wzmianek w dziełach Reja, Kochanowskiego i Morsztyna.

Studio poznańskie nawiązuje obecnie współpracę z krajami demokracji ludowej, a specjalnie z Węgierską Republiką Demokratyczną, gdzie do dziś przetrwały tradycje i dokumentacje dawnych tańców polskich, niegdys popularnych w całej Europie. Zainteresiona również jest w tym współpraca z muzykami i choreografami Szwecji.

W najbliższym czasie, w programach koncertów poznańskiego Studio znajdują się fragmenty komedii plebejskich i socjaldramatów. Utworzona zostanie grupa solistów-wokalistów przy Studio, celem wystawienia (fragmentów) oper z epoki Odrodzenia.

o plastyce
„CZTERY WIEKI MALARSTWA FRANCUSKIEGO”
Wystawę pod tym tytułem otwarto ostatnio w Leningradzie. Przeszło 1000 obrazów, kilkadziesiąt rzeźb, rysunków, tkanin oraz przedmiotów sztuki zgromadzone w 42 salach Pałacu Zimowego. Jedną z nich całkowicie poświęcono obrazom Greuze'a oraz rysunkom z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Dzieła Daubiera i Gavarnie również zaprezentowano.

FILM O TWÓRCZOŚCI LWA TOLSTOJA
W najbliższym czasie na ekranach ZSRR ukaze się film dokumentalny poświęcony technice pisarskiej Lwa Tolstoj. Oparty na bogatych zbiorach spuścizny literackiej Tolstoj film ten przedstawi dzieła twórczości wielkiego pisarza. Z niezliczonych wariantów, opracowywanych na nowo te same partie utworu, widz przekonana się, jak wiele wymagał od swej twórczości pisarz. Tak np. dopiero trzeci wariant początku „Wojny i pokoju” zadowolił autora. Do piero wariantu dwudziesty był tym, który zapał na nas z wyglądem wewnętrznym Katuszy Masłowej.

KTO TO JEST MR. HOMER?
Mediolanski teatr „Piccolo” daje obecnie w nowej przeróbce znaną komedię Goldoniego pt. „Sluga dwóch panów”.

W związku z tym naczelny dyrektor jednego z wielkich amerykańskich dzienników zwrócił się do swego mediolanskiego korespondenta z żądaniem, aby podać mu telegraficznie, kto to jest Mister Goldoni, do jakiej partii politycznej należy i czy w tytule komedii nie jest ukryta aluzja do sytuacji politycznej, w jakiej obecnie znajduje się Italia. Analogiczny wypadek zdarzył się również filmowcom włoskim, którzy zaproponowali znanemu amerykańskiemu scenarzystyce współpracę przy filmowaniu „Odyseji” Homera. Z Ameryki nadzieła odpowiedź: „Proszę o nadesłanie mi wszystkich dotychczasowych scenariuszy Mr. Homera”.

PISMO SW. NOWEGO TESTAMENU
przekład Ks. E. Dąbrowskiego
ozdobna oprawa płócienna ze złoconymi
cenami
cena zł 65.—

Ks. Eugeniusz Dąbrowski
PROLEGOMENA DO NOWEGO TESTAMENU
cena zł 20.—

Th. Deman O. P.
CHRYSOSTOMUS I SOKRATES
cena zł 30.—

Sw. Augustyn
DIALOGI FILOZOFICZNE
trzy tomy po zł 25.—

Etienne Gilson
WPROWADZENIE DO NAUKI SW. AUGUSTYNA
oprawa kartonowa zł 45.—
opraca płócienna zł 81.—

Sw. Hieronim
LISTY
Przekład ks. J. Czuja
dwa tomy po zł 34.—

Blaise Pascal
MYŚLI
oprawa kartonowa cena zł 32.—
oprawa płócienna ze złoconymi
cena zł 65.—

Tadeusz Śliński
BISKUP NANKER
cena zł 40.—

Tadeusz Śliński
DZIEJE I USTROJ KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO NA ŚLĄSKU DO KJNCA W. XIV
cena zł 32.—

A. J. Cronin
KLUCZE KROLESTWA
cena zł 30.—

Jerzy Krzysztof
OPOWIADANIA INDYJSKIE
cena zł 22.—

Par Lagerqvist
BARABASZ
oprawa płócienna cena zł 18.—

Bruce Marshall
CHWAŁA CORY KROLEWSKIEJ
cena zł 18.—

Alessandro Manzoni
NARZECZENI
dwa tomy cena zł 60.—

J. F. Powers
KSIĄDZ CIEMNOŚCI
cena zł 25.—

Reinhold Schneider
OSKARZENIE
cena zł 16.—

Sigrid Undset
KRYSTYNA CORKA LAVRANSA
trzy tomy cena zł 75.—

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA
dwa tomy cena zł 50.—

Wysła Biuro Sprzedaży „PAX”,
Warszawa, Mokotowska 43, za
zaliczeniem pocztowym lub po wpła-
ceniu należności na konto PKO.
W-wa 18515/114. Przy wpłatach
na PKO prosimy doliczać zł 3.—
na koszt przesyłki. Do nabycia we
wszystkich sklepach „Vertasu”.

PAX

Stefania Skwarczyńska
WSTĘP DO NAUKI O LITERATURZE
tom I cena zł 45.—

Tadeusz Gajcy
UTWORY ZBRANE
cena zł 25.—

Jerzy Liebert
POEZJE ZBRANE
cena zł 25.—

Mikołaj Rostworowski
PRZECIW NOCY
cena zł 12.—

Mateusz Żurawiec
WIEC W ŚRODKU CZŁOWIEKA
cena zł 10.—

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAŻE
cena zł 15.—

Wanda Chylicka
SPLATANE KORZENIE
cena zł 16.—